№ 52. Warszawa, dnia 24 (12) Grudnia 1881 r. Rok I

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

Z powodu zbliżającego się nowego roku, prosimy szan. abonentów o wczesne i, jeżeli można **bezpośrednie**, nadsyłanie przedpłaty według warunków w nagłówku **Prawdy** oznaczonych. Wtedy jedynie możemy żądaniom szybko i w porę zadośćuczynić.

Ponieważ **bezpłatnym dodatkiem** książkowym w pierwszym kwartale roku przyszłego będzie dokończenie II tomu dzieła Brandesa **Główne prądy literatury europejskiej XIX w.** przeto dla ulżenia nowoprzybywającym abonentom nabycia dwu poprzednich części (dodatków z kwartału III i IV b. r.) cenę ich z rs. 1 **obniżamy na kop. 50**.

MIEJSCOWI ALE NIEBIEGLI.

Zachowanie się delegatów polskich w obradach nad sprawą ukrócenia pijaństwa dało powód prasie naszej do rozlicznych uwag, z których przebiła się nawet zbyt przeciągnięta nuta rozpaczliwej skargi. Nie mięszaliśmy swego głosu do tej wrzawy, bo nie widzieliśmy w pogłoskach i parafrazach sprawozdawczych dość wiarogodnego źródła. Chcąc ocenić czyjeś przekonania, trzeba je znać. Niecierpliwi i skorzy do wyrokowania publicyści nasi schwytali odbijające się w pismach petersburskich echa obrad i odprawili taniec z cieniem hr. Zamoyskiego taki, jaki do ich gustu przypadał. Rzucano więc do urny „obywatelstwa" białe i czarne gałki, nie znając dokładnie przedmiotu tego dziennikarskiego balotowania. Nareszcie tę grę w ślepą babkę zakończył *Praw. Wiestnik*, podawszy w urzędowym protokóle głosy pp. Ostrowskiego i Zamoyskiego. Teraz więc możemy pomówić o co szło „przedstawicielom polskim."

Między wnioskami, przyjętymi przez biegłych, znajdował się jeden, zastrzegający, że uchwały tego zgromadzenia (skierowane przeciw żydom) nie dotyczą gubernij nadbałtyckich, Królestwa Polskiego, Syberyi, prowincyj Turkiestańskiej i Zakaukaskiej, gdyż „komisya *nie jest dostatecznie obeznana* ze stanem handlu napojami we wszystkich tych miejscowościach." Przedewszystkiem nasuwa się pytanie: co w zgromadzeniu biegłych robili przedstawiciele polscy, albo raczej, dla czego nie obznajmili komisyi z warunkami handlu wódczanego u nas? Pojmujemy, że Syberya, prowincye: Turkiestańska i Zakaukaska, które nie miały swych delegatów i nie posiadają cywilizacyjnie unormowanych stosunków ekonomicznych, mogły dla obradującego ciała być *terrae incognitae*; ale Królestwo Polskie nie powinnoby przedstawiać tak wielkiej ciemności, zwłaszcza, że oświecały je dwie głowy. Niejedna gubernia środkowa Cesarstwa wyrównywa rozmiarem naszemu krajowi, nie każda miała swego delegata — a przecież biegli nie położyli na żadnej znaku zapytania i wszystkie europejskie (z wyłączeniem nadbałtyckich) objęli swemi uchwałami. Co to znaczy? Wstrzymajmy się z odpowiedzią na to pytanie, aż do poznania wywodu p. Ostrowskiego.

W mowie swojej usiłował on zarysować stan handlu napojami u nas. Przedewszystkiem zaś pochwalił wyłączenie Królestwa Polskiego z pod uchwalonych wniosków, gdyż brak instytucyj ziemskich i odmienne warunki ustroju sparaliżowałyby reformę. Według p. O. podwyższenie akcyzy wpłynęło stanowczo na zmniejszenie pijaństwa. Kiedy opłata wynosiła $^1/_5$ kop. od stopnia czystego spirytusu, wówczas na każdego mieszkańca wypadało 63 stopnie; kiedy ją podniesiono na $2\frac{1}{2}$ kop., ilość spożywanego spirytusu zmniejszyła się przeciętnie na 50; kiedy wreszcie zaczęto pobierać po 70 kop., konsumcya spadła 23 stop. na głowę. Skutki te wszakże występują jedynie w okolicach, oddalonych od granicy; w przyległych bowiem do pasa granicznego kontrabanda, wprowadzająca rocznie $1\frac{1}{2}$ miliona wiader (skąd ta cyfra?) tamuje dobroczynne skutki akcyzy podniesionej. I dla tego p. O. proponuje obostrzenie kar na przemytników z rzemiosła. Drugą przyczyną rozpowszechnionego pijaństwa widzi mówca w nadmiernej liczbie jarmarków, dochodzącej w Królestwie do 16,000 rocznie.

Przed podaniem wywiedzionego z tych faktów wniosku wtrącimy kilka uwag. Naprzód zdaje nam się, że hymn pochwalny na cześć wysokiej akcyzy spadłby bardzo w tonie przy uwzględnieniu innych czynników ekonomicznych. P. O. traktował wytwór spirytusu wyłącznie jako środek pijaństwa, zapominając o innych jego użytkach, które wysoka akcyza znosi lub ogranicza. Produkt ten nietylko wpływa w pijackie gardła i nietylko pod postacią wódki. A nawet owa imponująca cyfra $1\frac{1}{2}$ miliona wiader kontrabandy jest w znacznej części wytworem zbyt podwyższonej opłaty akcyznej. Obostrzenie kar nic nie pomoże, jeśli różnica ceny a zatem możność zarobku z przemytnictwa pozostanie wielką. Trzebaby chyba na granicy postawić łańcuch wojska z wycelowanymi karabinami, ażeby przeciąć tajemne sprowadzanie okowity z Prus, dopóki ona tam będzie tak tanią, że do ogrzewania kuchen zamiast nafty służyć może, a u nas tak drogą, że staje się zbytkiem. Jeżeli dotychczasowa droga jest dobrą, dlaczego nie posunąć się w jej kierunku o krok dalej i nie zamknąć wszystkich gorzelni? Dotąd co najwyżej wolno nam spodziewać się, że punkt ciężkości pijaństwa i umiarkowa-

nego spożycia spirytusu przesunie się z warstw uboższych do zamożniejszych.

Nie całkiem również uzasadnioną wydaje nam się skarga p. O na jarmarki. Nie przeczymy, że są one zbyt liczne i z wielu względów szkodliwe; ale czemże je zastąpić w naszym ustroju społecznym i w naszych stosunkach handlowych, w których one są nieraz jedynymi rynkami zbytu i kupna dla ludności wiejskiej? Daleko większy położylibyśmy przycisk na zmniejszenie liczby świąt, które u nas doszły do olbrzymiej cyfry i które przez oderwanie od pracy i sposobność do hulanek wpływają na szerzenie się pijaństwa.

Ale przejdźmy do wniosków p. Ostrowskiego.

Pierwszy z nich żąda zatamowania przemytnictwa i usunięcia nadużyć w produkcyi, drugi zmniejszenia liczby jarmarków oraz obostrzenia nadzoru nad sprzedażą napojów, trzeci wreszcie — najcharakterystyczniejszy — poleca „powołać *miejscowych biegłych* do ułożenia projektu w przedmiocie tego ostatniego punktu.“ Ponieważ delegaci nasi byli „miejscowymi,“ więc stawiając ów trzeci wniosek przyznali, że nie są w tej sprawie „biegłymi.“ Tak rzeczywiście jest, i dla tego komisya nie była „dostatecznie obeznana ze stanem handlu napojami w Królestwie Polskiem.“ Zaznaczając tę szczerze wyznaną i widoczną niekompetencyę pp. Zamoyskiego i Ostrowskiego, nie pragniemy czynić im z niej zarzutu, lecz wskazać, jak dalece my mało o swym kraju wiemy. Nie jest winą delegatów polskich, że pojechali na obrady nieprzygotowani, ale jest winą naszej literatury ekonomicznej, że na podobne wypadki nie dostarcza potrzebnych instrukcyj. Gdybyśmy zamiast krzyczeć aż do zdarcia gardła *hep! hep!* i w nieprzeliczonych waryantach wyspiewywać nienawiść do żydów, badali ów zagadkowy „stan handlu napojami w Królestwie Polskiem,“ wyświadczylibyśmy krajowi daleko większą usługę. Deklamujemy zawzięcie, ale gdy przyjdzie do złożenia egzaminu z własnego gospodarstwa społecznego, zdobywamy się tylko na Sokratesową cnotę przyznania się do wiedzy o swej niewiadomości. Smutno wyznać, że prasa i literatura rosyjska przystąpiła do rzeczy z daleko większem przygotowaniem. Tam ogłoszono bogate materyały, które pozwoliły oprzeć teoryę na mocnym gruncie faktycznym. My wszyscy jesteśmy „miejscowi,“ ale rzadko kto „biegły.“

POTRZEBA PRAWDY.

Pisma codzienne przepełnione są doniesieniami o rozbojach i kradzieżach. Czytając je, ciągle zadajemy sobie pytania: czy rzeczywiście pozostajemy na łasce i niełasce zbrodniarzów i gdzie szukać przyczyny tego rozkiełznania popędów występnych? Bierzemy naprzód gazety z ostatnich kilku tygodni i sumujemy wypadki zamachów na cudze życie i mienie: rzeczywiście liczba poważna, mniejsza jednak, niżby potrzeba było dla usprawiedliwienia nieopatrznych alarmów chciwej nowin prasy. Niektóre jej organy każdą wiadomość o złodziejstwie lub morderstwie opatrują takimi wykrzyknikami, jak gdyby u nas każdy oczekiwał jutra z nabitym rewolwerem w ręku. „I znowu zbrodnia“ — „banday zbójców gospodarują sobie swobodnie“ — „zuchwalstwo rzezimieszków staje się bezczelnem“ (jak gdyby to rzemiosło mogło być nie bezczelne)—te i tym podobne hasła naszej dziennikarskiej czujności należą do zwykłych głosów. Gdybyśmy je słyszeli, siedząc w Berlinie lub Wiedniu, z pewnością nie kupilibyśmy ani jednego warszawskiego wekslu, nie dalibyśmy ani talara zaliczki na polskie zboże. Nieraz bierze chęć mniemać, że tych przesadnych alarmów używamy z pobudek patryotycznych dla... odstraszenia cudzoziemców. Zalecając wszakże wstrzemięźliwość w szerzeniu postrachów, nie myślimy ani usypiać czujności, ani zaprzeczać faktu, że w ostatnich czasach liczba przestępstw pomnożyła się u nas widocznie. Chociaż prowincyonalni Rinaldyniowie i ich bandy po bliższem zbadaniu okazują się zwykłymi złodziejami koni i wołów, uwijają się jednak zbyt obficie i występująz byt śmiało. Pytanie więc, co ich ośmiela? Sądząc z doniesień dziennikarskich — bezkarność. Czy więc istotnie sądy nasze okazują takie pobłażanie zbrodni? Przed kilku laty panował w Warszawie ogólny strach, zadyszane *Kuryery* opowiadały szereg kradzieży i rozbojów ulicznych, zdawało się, że krew co noc opryskuje ulice naszego miasta a złodziejskie ręce nie odpoczywają w przetrząsaniu cudzych kieszeni. Kto nawet nic nie miał, drżał o własne życie. Policya wprawiła w ruch wszystkie swe sprężyny i wtedy rozpoczęły się w pismach... sprostowania. Były one nader charakterystyczne. Tak np. jeden z *Kuryerów* doniósł, że na ulicy Kruczej w pewnym dniu i porze złodzieje, wyłamawszy okna i powiązawszy mieszkańców, zrabowali ich do szczętu. W kilka dni policmajster, objaśniając fakt, pisał w tymże *Kuryerze*: po zbadaniu rzeczy okazało się, że opisana kradzież wcale nie miała miejsca, lecz przejeżdżający ulicą wóz z węglami potrącił robotnika dyszlem, za co furman pociągnięty został do odpowiedzialności. Podobnych *sprostowań* czytaliśmy bez liku, a wszystkie one dowodziły, że wyobraźnia reporterska jest bardzo bujną. Jakoż wkrótce opinia publiczna uspokoiła się. Czy więc obecnie nie należałoby użyć tejże samej metody? Czy urzędowe sprawdzenie i ogłoszenie każdego przez pisma podanego faktu nie wpłynęłoby na ukrócenie występków i ograniczenie przesadnych wieści? Jeśli pewne organy sądowe tolerują winnych, możnaby je nauczyć surowości lub zmienić.

ULICZNIK

(z wileńskiego bruku).

Ojciec Jaśka był stróżem przy nędznej kamieniczce na Zarzeczu. W dzień pracował, wieczorem pił, jeżeli miał za co, a wróciwszy do izdebki pod schodami, bił żonę, syna targał za czuprynę, póki się nie zwalił spać na ławę, podsunąwszy worek z piaskiem pod głowę.

Pewnego razu, pijany, pobił się przed szynkiem z szewcem; kułak sąsiada trafił go pod żebra i obalił na ziemię. Padając, uderzył głową o kamień i nie wstał już o swoich siłach. Zawieźli go doszpitala, gdzie zmarł po niejakimś czasie, nie zażywszy wielkich rozkoszy na świecie.

Matka została na stróżowstwie; chorowała, dokąd sił stało. Jaś pomagał jej, w czem mógł: dziesięcioletni malec dźwigał wodę, drzewo, zimą lód rąbał na dworze, wyszczerzał zęby, chuchając w skostniałe palce. Wesoła robota rąbanie lodu! Uderzysz żelaznym kołem, bryzgi lecą, czasem za kołnierz która trafi, aż ciarki pójdą po skórze! Kaftan niby watowy słabo okrywa, świecąc dziurami; wiatr w nim się nie zatrzyma, a o cieple i mówić nie warto. Wszystko to nic! Chłopak pierzyny nie zaznał — schwyci w izbie ciepłej strawy i znowu gotów pracować na mrozie. Czasem matka kartofli pieczonych nakładzie za kaftan, to i grzeją czas jakiś. Najgorzej z nogami — mróz tak bierze za bose stopy! Matka dała stare trzewiki bez sznurków, ogromne choć trzy nogi włożyć; ciągał się Jasiek w nich dzień jeden, na drugi rzucił je w kąt, trzewiki jak kajdany tamowały mu swobodę; wyrwał się boso z chaty i zdawało mu się, świat szerszy, a u nóg skrzydła wyrosły. Zima nie wieczysta — miesiąc, drugi, a i słonko wiosenne zaświeci. Ale na wiosnę matka straszy terminem, książką... „Na wiosnę, powiada, posługa lżejsza, sama podołam, a takiego draba trzymać pod fartuchem nie godzi się; niech idzie w ludzi uczyć się pracować, żeby sam miał za co ręce zaczepić, jak wyrośnie.“ Jaśko nie traci rezonu; termin — to jeszcze nie bieda, a książka — to nawet ciekawa rzecz! I tak już nieraz w palce ugryzł siebie, widząc, jak dzieci szewca czytały a on stał przed niemi, patrzał w książkę, a rozumiał na niej tyle, co Zuczek drzemiący pod piecem.

— Oddacie do terminu, to i oddawajcie sobie — mawiał najzupełniej pogodzony ze swym losem; mnie jeszcze i lepiej! Tylko przychodźcie często do mnie, bo tak sam... bez was... między obcymi nie wyżyję, ucieknę... dalibóg! Przyjdziecie, co? raz w tydzień?...

— Przyjdę mazgaju i dwa, a gdzie mnie chodzić, jeśli nie do ciebie? Wzdłuż i wszersz świat przejść, to prócz tych, co w ziemi leżą, ani żywego ducha nie zostało. Ciebie wykieruję na człowieka, to choć będę miała gdzie na starość głowę przyłożyć!

Daremnie się kłopotała o przyszłość!

Jeszcze śnieg nie zaczął topnieć na dachach, do wiosny daleko, a tu jak podskoczył kaszel, tak dzień i noc z nim spokoju nie ma. Nogi jakby cudze, ledwie zwlec z łóżka ma siłę... po izbie pokrzątą się jakkolwiek, ale już nawet w piecu napalić nie może. Jaśko uwijał się za nią i za siebie, a tylko gdy wróci z chłodu i w izbie nie zastanie ani zapachu ciepłej strawy, to mu trochę markotno jakoś... Ale tyle tego! Kupił chleba, wody w domu było podostatkiem, i przebył jakoś tydzień, drugi. A z matką coraz gorzej; już ani ruszy się z pod pieca. Jaśko patrzał na nią, drapał się w głowę i sam nie wiedział, co robić.

— Może co jeść będziecie? — spytał nieśmiało.

— Mnie nic nie trzeba — odrzekła — ja umrę Jaśku.

Usiadł obok niej na ławie, pod sercem załaskotało mu jakoś.

— Eh, mało co gada! Sama mówiła nieraz, że śmierć ucieka od biednych — myślał, poruszając zwolna bosemi nogami.

— Może w piecu zapalić? Ja tam schował

W jednej z gazet np. czytaliśmy przed kilku dniami (z Nowo-Mazowieckiego) opis wypadku, w którym żyd ukradł konia z bryczką, ale sędzia śledczy wypuścił go na wolność, gdyż złapany tłomaczył się, że chciał tylko pojechać do młyna po zboże. Dla czego ów pan sędzia nie ma się wytłomaczyć publicznie? Jeśli postąpił nieprawnie, winien być ukarany, jeśli prawnie— dla czego on ma ulegać naganie a społeczeństwo tracić ufność do stróżów bezpieczeństwa publicznego. Potrzeba *prawdy*.

Dr.

Z NIEMIEC.

Źle idzie. — Zaostrzona walka stronnictw politycznych. — Rząd jako partya. — Przygotowania Koła polskiego. — Brak wodza. — Rozporządzenie o przemianie nazw polskich. — Humor małego stanu oblężenia. — *Burmistrzowa* Ebersa. — Królowa-poetka i śmiertelność między jej bohaterami. — *Historya polityki pruskiej* od r. 1807 — 1815. P. Hassela. — Kokieterya okładek.

Źle, bardzo źle idzie w państwie niemieckiem. Ks. Bismark coraz częściej choruje na nerwy przed każdą sesyą sejmową, stronnictwa w parlamencie wodzą się ustawicznie za czuby a powietrze obrad tak jest przesycone miazmatami nienawiści, że zakaża życie polityczne. Najobojętniejszy przedmiot rozpraw wywołuje gwałtowne starcia, partye są tak rozdrażnione, że dość gdy która upuści rękawiczkę, ażeby ją inne podjęły jako wyzwanie i stanęły do walki. Jedno z ostatnich posiedzeń, trwające kilkanaście godzin i zakończone aż po północy, podniosło temperaturę obrad do tego stopnia, że w niej już parować zaczął rozum ministrów. Któryś z posłów potrącił strunę nacisku wywieranego przez rząd podczas wyborów. Otóż minister Puttkamer, broniąc tej taktyki, posunął się do nieostrożnego lub zuchwałego wyznania, że urzędnicy, agitujący na korzyść rządu „mogą być pewni jego wdzięczności i uznania... monarchy.“ W słowach tych zanadto się odsłonił cynizm niekonstytucyjny. Obrażają one bowiem pierwszą zasadę ustroju reprezentacyjnego — niepodległość wyborów, i wystawiają rząd, który powinien być wypadkową stronnictw, jako osobną partyę. Naturalnie takie wykoszlawienie życia konstytucyjnego jest naturalnym wynikiem dyktatorskiego systematu ks. Bismarka, który nie ugina się przed wolą narodu, ale ją naginąć usiłuje. Mając go niewidzialnie za plecami, mógł p. Puttkamer powiedzieć do wyrzucających mu to zuchwalstwo posłów: „wiem, dokąd mi posunąć się wolno, i wiem, że nie posunąłem się za daleko.“ Instrukcya Bismarka musiała być jasną, a minister wyuczył się jej dobrze.

Koło polskie, pobudzone nowymi dowodami cichego gwałtu i postępami germanizacyi. zamierza wnieść swą skargę do sejmu. Żałujemy, że w tem gronie niema bodaj Hausnera, któryby wymownie napiętnował gospodarkę krzyżacką. Niezależnie od zachwytów pism poznańskich, widzących w Kole polskiem samych Ciceronów, bezstronność przyznać każe, że ono złotoustych nie posiada. Z największym zamachem wypowiedziane mowy posłów poznańskich przebrzmiewają bez wrażenia, często bez śladu w sprawozdaniach dziennikarskich. Nierzadko w najprzychylniejszych nam gazetach spotykamy smutną notatkę: „wstępuje na trybunę poseł...ski, którego mowa jest dla stenografów niezrozumiałą.“ Nie brońmy się samem uprzedzeniem Izby, gdyż zpewnością woli ona słuchać Czarlińskiego niż Bebla, a jednakże uważniej słucha... Bebla. A materyału sromoty do rzucania w twarz ciemiężycielom nie brak. Oto znowu wydano rozporządzenie, ażeby w aktach urzędowych miejscowości przechrzczone tylko 10 lat figurowały pod dawnemi imionami polskiemi (w nawiasach), a potem znikły z oblicza polskiej ziemi, tentońskiemi falami zalanej.

Wiadomo, jak niemcy są skłonni i zdolni do wszelkiego tępienia. Ze sprawozdań o karach wymierzonych na zasadzie ustawy „małego stanu oblężenia“ tryska taka głupota i humor, że z nich serdecznie naśmiać się można. Przeczytajmy kilka doniesień: „Styczeń 1874. Młody kupiec zaaresztowany, gdyż wracając z *maskarady* miał przy boku pałasz. Po odebraniu oręża wypuszczony. Styczeń 1880. Robotnik Józef Diecke, pomagając bratu w przeprowadzce, niósł przez ulicę sztylet; skazany został na 5 marek.“ Nieszczęśliwi kochankowie, których złapano na usiłowaniu samobójstwa, lokaje, niosący za panami strzelby — wszyscy są karani z tytułu „małego stanu oblężenia.“ Nie zdziwilibyśmy się wcale, gdyby jakiś *Reichsgericht* skazał kogoś na więzienie za wyjęcie na ulicy rewolweru... z czekolady. Jeżeli zaś tak niemcy przypiekają swoich, to cóż mówić o polakach.

Sejm się odroczył, życie więc polityczne zasnęło, ustępując miejsca ruchowi przedświątecznemu. Sklepy się wystroiły podarkami, księgarnie błyszczą różnobarwnemi okładkami wydawnictw gwiazdkowych. Ktoś słusznie zauważył, że niemiec (wyjąwszy niezbędne) kupuje książki tylko na gwiazdkę. To też noworoczna doba jest porą żniw wydawniczego świata. Wszyscy poczytni autorowie muszą na ten czas dostarczyć nakładcom towaru. Między innymi stanął ze swoją płodnością w powieściach Jerzy Ebers ze swą „Burmistrzową“ (*Bürgemeisterin*). Poważny ten uczony i profesor uniwersytetu lipskiego był w swej romansopisarskiej roli zjawiskiem dość dziwnem. Egiptolog, dodać trzeba znakomity egiptolog, współzawodniczący ze Spielhagenem, wyglądał jak słoń chodzący po linie. A jednak chodził po owej linie tak zręcznie, że po za granicami Niemiec, nawet u nas zbierał oklaski. Jego powieści (przełożone na język polski) budziły wielkie zajęcie. Ale już przed kilku laty szepnął ktoś w Niemczech złośliwie, że cała ta jego twórczość artystyczna była „Lipskiem w Memfis,“ że Ebers umie zręcznie spożytkowywać swą wiedzę naukową w formie romansów, nie posiadając wcale powieściopisarskiego talentu. Trudno było wszakże zarzut ten uzasadnić, bo krytycy nie znali tego życia egipskiego, które przed nimi roztaczał autor. Nareszcie urodziła się *Burmistrzowa;* Ebers zmalał. Wątek tego utworu wysnuty z bliższych i znanych zdarzeń wojny hiszpańsko-niderlandzkiej, mianowicie z oblężenia Leydenu. Bohaterka jest żoną znacznie od niej starszego gospodarza miasta, który lekceważy jej wartość umysłową i patryotyczną, podczas kiedy ona przyjmuje bardzo żywy i energiczny udział w sprawach politycznych. Młody rycerz, dawniej przez nią kochany, wprowadza do tego stosunku powikłanie miłosne. Nic wszakże erotyczna jest za krótka na 459 stronic opowiadania i dlatego autor wplata w nią mnóstwo in-

---

w słomie kilka polan, jak nosiłem drzewo na górę...

Matka wyprostowała się, potrząsła go silnie za ramię:

— Nie kradnij... oh, nie kradnij!... — mówiła przerywanym głosem, niech cię Bóg od tego strzeże... drzewo cudze...

Głosu zabrakło, pochyliła głowę. A Jaśko śmiał się zcicha. Cudze! A ileż to razy głaskała go po głowie za to „cudze“ drzewo!

Do wieczora matki nie stało. Jaśko patrzał jak ogłupiały na wszystko, co się działo w chacie. Żal mu było matuli, i nie rozumiał, nie wierzył, że już jej żywej nigdy nie ujrzy. Ocknął się wtedy dopiero, gdy wyprawiony z izby przez nowego stróża, znalazł się za bramą swobodny jak ptak.

Na prawo, na lewo ulica — ruszaj w świat nieboże, gdzie oczy poniosą. Zmarzniesz, czy zamrzesz z głodu, nikt o to nie będzie miał do ciebie pretensyi. Obejrzał się, popatrzył z bramy w okienko pod schodami, i już mu serce żalem opływać zaczynało... wtem Żuczek — towarzysz wybiegł z za węgła! Radość błysnęła w oczach obu.

— Walaj tu za mną! — wołał Jaśko, wskoczył na chodnik, przebiegł ulicę, oglądał się, podrygiwał i chichołał jak opętany. Żuczek za nim, wskakiwał na ramiona, chwytał za odzież, próbował zębów na bosych nogach. Naprzeciw nich wybiegł drugi szubrawiec, również obdarty, lecz o wiele starszy i widać już dobrze obeznany z ulicą. Twarz miał wynędzniałą i starą nad lata, szerekie usta wykrzywione szyderczo, w oczach zapadłych głęboko tlała hajdamacka przebiegłość. Czapkę z podartym daszkiem nałożył na tył głowy, nad niskiem czołem jeżyły się włosy nieokreślonego koloru. Z pod obdartego kaftana wyglądała obnażona szyja i piersi, dolna odzież świeciła dziurami, na bosych nogach miał podarte kobiece buciki z wykrzywionymi obcasami. Biegł za jakimś jegomościem i jęczał żałośnie.

— Panie wielmożny, choć kopiejeczkę dla chorej matki, choć jedną kopiejeczkę! Matka chora — zlitujcie się panie wielmożny!...

Jaśko zatrzymał się, patrzał na niego z głupim uśmiechem.

— A gdzie twoja matka, Józiek? — spytał.

Józiek szturgnął go w bok jedną ręką, drugą wyciągnął po jałmużnę.

— Głupi ty — zawołał, gdy dobroczyńca odszedł. Cóż chciałeś, żebym mówił: daj na papierosa, daj na kieliszek wódki! Ja tam matki swojej na oczy nie widział. ale dla niej najwięcej dają, to ja dla niej i proszę. Ot zarobiłem dwie kopiejki, dobre i to! Spróbuj, poproś u tego tłustego, co wali z pod Ostrej Bramy; jęcz tylko głośno dla chorej matki. No, prędzej! Kupim bobu, jak dostaniesz kopiejkę!

Jaśko podbiegł, wyciągnął rękę:

— Paneczku, dla chorej... Wspomnienie matki znowu załechtało około serca, opuścił rękę. po twarzy przesunął się cień prawdziwego smutku. Pan rzucił pieniądz i poszedł dalej; Jaśko stał spoglądając z podełba, a z gratki o mało nie skorzystał koleżka; już nachylił się, wyciągnął rękę... Żuczek go uprzedził, chwytał kości nie gorzej jak szubrawcy jałmużnę, sądził, że i teraz coś dla niego rzucono. Tymczasem Jaśko ocknął się, podniósł pieniądz.

— Pokaż, co masz? — zawołał starszy, chwytając go za rękę. Pięć kopiejek! ho, ho, to ten bzruchacz umie dawać, jak chce! No, cóż stoisz, jak malowany? Chodź za mną, przekąsim cośkolwiek. Bób psa wart, za pięć kopiejek można coś lepszego kupić. Walaj za mną!

Wszedł naprzód z podniesioną głową, z łokciem zawsze gotowym do szturgania przeciskał się przez tłum, umyślnie lazł, gdzie najciaśniej; staremu żydowi huknął nad uchem, babę zepchnął z chodnika, a nim zdążyli obejrzeć się, był już na drugiej stronie ulicy, z rękami w kieszeniach przyglądał się wystawie sklepowej; na piersiach z poza brudnej koszuli wyglądał rożek chusteczki schwyconej po drodze. Weszli do szynku. Józiek wypił kieliszek wódki, zakąsił śledziem. Jaśkowi kupił trzygroszową bułkę. Poszli dalej.

— Dla mnie pięć kopiejek — to nie pieniądze — mówił zaczerwieniony nieco; jak ich nie mam, to zdaje się, że coś warte, a

nych, pobocznych, związanych z wypadkami historycznymi. Powstaje z tego całość porządnie odrobiona, ale nieposiadająca tchnienia poetycznego, ani barw wdzięcznych, ani scen silnych. Tam gdzie artysta umieściłby obraz, Ebers umieszcza pobieżną wzmiankę. *Burmistrzowa* też jest utworem ciężkim. w znacznej części nudnym i jeżeli budzi jakieś głębsze wrażenie, to chyba tylko wrażenie... głodu. Ten wynik oblężenia jest tak dalece wysunięty na plan pierwszy, że przedewszystkiem czujemy potrzebę nakarmienia bohaterów. Chleba! chleba! zdają się oni wszyscy wołać do czytelnika. Szczęściem na końcu książki jedzą, jedzą i jedzą — dzięki miłosierdziu autora.

Do orszaku gwiazdkowego przybyła książka, której autorka musi ściągnąć ogólną uwagę — „Na tej wyżynie gdzie stoją trony, kwiaty poezyi rzadko rosną.“ To też niezwykłym okazem jest bukiet poetyczny, który literaturze niemieckiej ofiarowała... Elżbieta królowa rumuńska pod pseudonymem *Carmen Sylva*. Tytuł tego zbiorku „Burze“ *(Stürme)*. Ukoronowana autorka pierwszy krok literacki zrobiła w przekładach poezyj rumuńskich. Teraz wystąpiła samodzielnie. Samodzielnie? Zapomniawszy o królowej a pamiętając o pisarce, trudno jej przyznać ten przymiot; przez jej utwory bowiem przesuwają się cienie najrozmaitszych wzorów. Panuje w nich nadto niezwykła śmiertelność między bohaterami. Trudno policzyć, ilu autorka pozbawiła życia ogniem, wodą, trucizną lub kulą. Tak np. w pierwszym poemacie „Safo,“ z trzech głównych postaci umierają dwie; zamordowany przytem mąż Safony i kilku obywateli. W drugim „Hammerstein“ widzimy pięć trupów ważnych, nie licząc zabitej służby. W trzecim „Na wodach“ jedna tylko postać pozostaje żywą i t. d. Popelnilibyśmy wszakże niesprawiedliwość, gdybyśmy tę tylko stronę zaznaczyli w poezych Sylvy. Chociaż forma zwykle słaba a polot niewielki, znajdujemy przecież ustępy bardzo piękne i artystyczne. Mimo zaś grzechów poetycznych niepodobna oprzeć się sympatyi dla autorki, która na swem stanowisku obrała sobie nienajgorszą cząstkę. Z następcą tronu austryackiego stanowi ona dziś w Europie jedyną parę, pracującą dla literatury. Król portugalski bowiem dawno już nie tknął autorskiego pióra.

Na uwagę historyków naszych zasługuje pierwsza część dzieła P. Hassela *Geschichte der Preussischen Politik 1807—1815*. Chociaż w tej dobie pruski boa, połknąwszy polskiego barana, odpoczywał i trawił, lub ze lwem francuskim walczył, nie przestawał jednak ku wschodowi otwierać swej paszczy. Są tu materyały czerpane z archiwum: doniesienia zagranicznych posłów pruskich, korespondencya między F. Wilhelm III a cesarzem Aleksandrem, księciem Wilhelmem (w Paryżu), ministrem Steinem, Goltzem i t. d., wreszcie akta polityczne i wojskowe, rozkrywające tajemniczą głąb' stosunków ówczesnych. W pierwszej połowie książki (druga wypełniona dokumentami) autor kreśli na podstawie dzieje polityki pruskiej od pokoju tylżyckiego do r. 1808. Wstęp ten ułatwia spożytkowanie ogłoszonego, surowego materyału.

Nie możemy tu nawet z tytułów wyliczać przeróżnych Almanachów, poetycznych zbiorów, ozdobnych kalendarzów, które w strojnej oprawie rozsiadły się na stołach i półkach księgarskich, nęcąc publiczność gwiazdkową. Jestto bowiem przeważnie kokieterya sztuki introligatorskiej.

Liber.

ROUSTAN I ROCHEFORT.

Paryż d. 17 grudnia.

W tej chwili z Paryża niepodobna pisać o niczem innem, tylko o procesie Roustana, ministra-rezydenta w Tunisie, przeciwko Rochefortowi, widomej głowie „nieprzejednanych“ i panu Delpierre, odpowiedzialnemu redaktorowi ich organu— *Intransigeant'a*. Jestto fakt nie małej wagi; zamilczeć o nim lub oświetlić niedostatecznie niepodobna. Jest to pierwszy wypadek, w którym członek najwyższych sfer państwa, a przez niego rząd uczuł potrzebę wskutek nacisku prasy uciec się do sądu obywateli.

Pierwsza jednak próba sprawowania prokuratorskiego urzędu przez pisma publiczne, pomimo faktycznego tryumfu, wypadła niepomyślnie.

Komu dziś obce jest nazwisko znakomitego niegdyś fejletonisty? Przeszłość jego, obfitującą w ciekawe wypadki i awantury, opisywały i rozrabiały dzienniki całego świata. On sam był jedną z najbardziej popularnych osobistości w Paryżu. Tymczasem dziś... Powróciwszy z wygnania, niezrozumiał, czy nie chciał zrozumieć istotnego położenia rzeczy. Pamflety, choćby najdowcipniejsze, wymierzone jedynie przeciwkom osobom, stępiły już swe ostrza. W rzeczypospolitej z Grévym i Gambettą na czele, rola opozycyi rozumnej polega jedynie na roztrząsaniu szczegółowem pojedyńczych spraw państwa. Do tego potrzeba znajomości rzeczy, gruntownego wykształcenia, akurat tego, czego Rechefort nie posiada. Jak zatrzymana na jakiś czas katarynka, zaczął z bezmyślną jednostajnością wyśpiewywać dawniej nastawione piosenki. Wkrótce też znudził wszystkich ciągłym hałasem. Wiedzę i znajomość rzeczy zastąpił blagą i zuchwalstwem. Talent fejletonisty okazał się nieodpowiednim do pisania poważnych artykułów w dużym dzienniku; zużyty dowcip zawiódł zupełnie, świetne kiedyś pomysły zamieniły się na codzienne powtarzanie historyi o Leonie I., która wszystkim obrzydła, a na nikogo nie oddziałała. W napaściach nie czuć wcale patryoty, który „sercem gryzie“, lecz klowna, chcącego literackimi i politycznymi koziołkami utrzymać niknącą popularność. Tym razem celem pocisków jego stał się oportunizm. Czego chcą inne partye lewicy, radykalni i socyalni. to wie każdy, ale do czego oprócz osobistego znaczenia dąży Rochefort, nawet on sam nie potrafiłby powiedzieć. Nie mogąc należycie krytykować rzeczy, obrał sobie dawnym zwyczajem za rzemiosło szkalowanie osobistości. Innego wyrazu tutaj użyć niepodobna, bo gdyby nawet przypuścić dobrą wolę, to i wtedy pozostanie faktem niezaprzeczonym, że najmniejszy, najbardziej wątpliwy pozór wystarcza, aby Rochefort rzucił się na pierwszą lepszą osobistość z innych partyi i omazał ją błotem swej wyobraźni. Na usprawiedliwienie jego pozytoczyć można chyba to, że o swój własny honor dba równie może, jak i o cudzy. Trudno przeliczyć, ile razy był on spoliczkowany słownie i to przez osoby, o których opinię dbać powinien, bo przez przyjaciół Ludwiki Michel. Zawsze wtedy udawał, że nie słyszy.

Jedną z ofiar nienawiści Rocheforta stał się Roustan.

---

jak mam, wypiję, zakąszę, i jakby ich nie było! A to twoją matkę taszczyli dziś zrana, hę? Gdzież ty mieszkasz teraz?

— Czy ja wiem — odrzekł Jaśko, przełykając suchą bułkę.

— Pójdziesz za mną; ja tam wielkiej parady nie używam, śpię w stajni u rzeźnika. Mieszkanie, tak sobie: od koni ciepło bywa czasami a i słomy poddostatkiem; czasem nawet w siano zaryć się można — wtedy śpisz jak król! Rzadko to bywa! Siano kupują wiązkami, a jak tylko kupią, zaraz to bydło zje, żeby ich, eh!... Wyśpisz się ze mną, zaraz pomożesz stajnię uprzątnąć. Nie wielkie tam wyprzątanie: machniesz miotłą w jedną, w drugą stronę to i czysto, resztę konie i ludzie za nogami wyniosą. Później pójdziemy na miasto. Biedy nie zażyjesz, nie lękaj się. Ot patrzaj, jak ja pójdę koło tej zgarbionej jejmości, niby nic, a zobaczysz, co dalej będzie.

Poszedł naprzód, minąwszy kobietę, zatrzymał się, czekając na Jaśka.

— Widzisz, ta stara kupiła trzy chały i wszystkie miała zjeść sama. Niedoczekanie jej!

Wydostał z za kaftana bułkę i rozłamał na połowę.

— Masz, spróbuj, dalibóg nie gorsza od kupionej.

Oparli się o róg domu, rozmawiali zajadając. Jaśko spoglądał na towarzysza z pewnym rodzajem szacunku. Chwat ten Józiek! — myślał. Pochylił głowę i przyglądał się, jak jego towarzysz pakował do gęby ogromny kawał bułki.

— Pochodź ty ze mną tydzień, drugi, a ja ciebie nauczę, jak żyć na świecie. Oho, żeby ja taki był mały, jak ty! Cmoknął, pokręcił głową. Pójdziem, już ciemnieje. Czy to twój pies?

— Taki mój, jak i twój.

— Czego on za tobą włóczy się?

— Bo przywykł.

— Niech i on idzie z nami; we trzech będzie cieplej spać; jeść to on musi być nie przywykł?

— Przecież je, kiedy dadzą.

— Głupi jesteś! Niby to ja tego nie wiem; ale któżby mu dawał, kiedy sam nie ma. Jaśko rzucił Żuczkowi resztkę chały.

— Eh ty! lepiej byś mnie oddał! — rzekł Józiek, szturgając go łokciem.

— Ja myślał, że ty już syt, kiedy dałeś mnie połowę.

— Syt, ba! Jaki ja mam brzuch pakowny, że niczem go nie napchasz! Jadłem dziś chleb, kartofle, ot i teraz przekąsiłem trochę, a tak zryć chcę, że aż zęby świerzbią! A już taką mam naturę, jak widzę, że kto z pustą gębą patrzy na mnie, to muszę podzielić się choć ostatnim kęsem!

— I ja tak samo — odrzekł Jaśko.

Weszli w zaułek, stamtąd na ciemne podwórko.

— W tej stajni ja śpię — rzekł Józiek, wskazując na otwarte drzwi. Tylko ty z ogniem ostrożnie! Jak zechcesz papieroskę pyknąć, to ruszaj sobie za bramę, a nie, to za czuprynę i won, rozumiesz? Jasio dotąd nigdy jeszcze nie „pykał,“ lecz wstydził się przyznać do tego. Józiek wydawał mu się coraz większym chwatem i tak mu przypadł do serca ze swoją miną, „ani dbaj,“ że gdy ułożyli się w słomie, przygarnął się do niego, objął za szyję i pocałował serdecznie.

— Ale ty mnie nie wypędzisz? — spytał cichutko.

— A za cóż mam ciebie wypędzać? Odtrącił go zrazu, po chwili jednak, zarzucił mu rękę na szyję, przycisnął małe, chude ciałko do swych szerokich piersi. Czy mu było z tem cieplej, czy może i w tych piersiach, przykrytych kradzioną koszulą, zadrgało jakieś ludzkie uczucie?

Życie poszło wesoło. Zrana krzątali się zwykle około stajni, potem wybiegali na miasto. Jaśko żebrał; mały, nędzny, wzbudzał litość a wkrótce tak się nauczył mówić o chorej matce, o siostrze kalekiej, że prawie nigdy nie wracał bez kilkunastu kopiejek. Józiek za te pieniądze kupował jadło i dzielił się niem sumiennie. O swoich dochodach nie wspominał nigdy. Raz tylko, pod wiosnę, gdy słońce dogrzewało, rynsztoki szumiały, a na ulicach błota było po uszy, Jaśko siedział na chodniku pod ratuszem, brodę oparł na kolanach i plół w rynsztok, przyglądając się, jak gęsta woda unosiła ślinę jego daleko. W tem

Na kilka dni przed wyprawą tunetańską redaktor *Intransigeant'a*, jak sam opowiada, spotkał się w pracowni malarza z braćmi Veil-Picard bankierami. Po kilku dniach znajomości jeden z tych panów powiedział mu, że wskutek rady, czy polecenia ówczesnego ministra spraw zagranicznych, p. Barttélemy Saint-Hilaire, nabył za znaczną sumę od niejakiego Bokhosa, redaktora *Moskatela*, ważny zbiór dokumentów, które opublikowane mogłyby nadwyrężyć dobre stosunki Francyi z Włochami, a które mocno kompromitują francuskiego ministra rezydenta w Tunisie. Rochefort z początku nie zwrócił uwagi na to, nie domyślał się jeszcze, że tunetańska sprawa odegra taką rolę, a nazwisko Roustana było mu obce. Kiedy jednak wojna wybuchła, zrozumiał ważność owych dowodów i prosił o nie Veil-Picarda. Jednocześnie zaczęły chodzić, szczególnie w sferach opozycyjnych, wieści niezbyt przychylne dla rządu w kwestyi tunetańskiej, a nawet jakiś dyplomata zrobił Rochefortowi ważne zwierzenia. Z tego źródła wypłynął w *Intransigeant* 27 września b. r. artykuł, w którym zarzucono Roustanowi przekupstwo i zrobiono go jedyną przyczyną rozlewu krwi.

Roustan, dowiedziawszy się o tem, opuszcza 3 października Tunis, przyjeżdża do Paryża i, jak twierdzi Rochefort, na żądanie ministra spraw zagranicznych, a według zapewnienia p. Bartélemy Saint-Hilaire i samego Roustana, z własnej jedynie woli wytacza proces o potwarz. Sąd przysięgłych w dniach 13. 14 i 15 grudnia, uwolnił oskarżonych od zarzutu, a skarżącego skazał na koszta procesu.

Teraz przypatrzmy się nieco bliżej tej ciekawej sprawie. Przedewszystkiem powstało pytanie: kto w niej był oskarżonym, a kto skarżącym? Roustan wniósł skargę, ale Rochefort obowiązany był dowieść winy. Zeznania świadków, zawezwanych przez ostatniego, po większej części urzędników i finansistów, mających obecnie lub dawniej stosunki z organami rządowymi w Tunisie, dają się sprowadzić mniej więcej do takich twierdzeń: Roustan utrzymywał ciągłe stosunki z osobistościami moralnie podejrzanemi, wywierał wpływ na Beja i *podobno* mógł był usunąć starcie Francyi z Tunisem; przez swego agenta, niejakiego pana Desfossé, miał w celach finansowych poruszać odpowiednio sprawę tunetańską w gazetach, a mianowicie w *République française*.

Najbardziej kompromitującymi miały być dla Roustana stosunki z małżeństwem d' Elias Mussali i z niejakim Volterra. Mussali został podobno wypędzony ze dworu Beja za kradzież publicznych pieniędzy, a pani była kochanką Roustana, który wpływem swoim przywrócił męża do łask i posługiwał się nim. Volterra znowu miał być zbrodniarzem, skazanym do ciężkich robót za fałszerstwo pieniędzy, a Roustan zrobił go naczelnikiem mennicy.

Ani jeden ze świadków, pomimo wyraźnych pytań prezydującego, nie zeznał, ażeby coś wiedział o osobistym udziale Roustana w spekulacyach. Roustan zaś do zeznań świadków dał takie objaśnienia: Volterra nigdy nie był fałszerzem, a co do Elias, to zaraz po przyjeździe do Tunisu zapytywał ministra, jak się ma zachować względem niego i otrzymał rozkaz posługiwania się nim; zawsze postępował zgodnie z instrukcyami ministeryalnemi, o pieniądzach wziętych przez panią d' Elias Mussali nic nie wie.

Pomiędzy świadkami, postawionymi przez Rocheforta, byli i tacy, którzy stanowczo bronili Roustana. Z nich szczególnie na uwagę zasługuje zeznanie bankiera Lévego Crémieux, od którego, według Rocheforta, miał Roustan brać pieniądze na grę giełdową, czemu świadek stanowczo zaprzeczył. Również wezwany Lesseps z ogromnym zapałem bronił Roustana. „Nie znam bardziej uczciwego człowieka"— mówił do przysięgłych drżącym od wzruszenia głosem sędziwy inżenier.

Zachowanie się Rocheforta i jego obrońcy było obrzydłe. Widocznie nie chodziło im o wyświetlenie prawdy, ale o skandale, o pozowanie. Tak np. świadkowi Desfossé zarzucali, że go wyłączono z adwokackiego grona i że za pośrednictwem Roustana sprzedawał bejowskie krzyże. Desfossé zniecierpliwiony zawołał do obrońcy:

— Pan byś przynajmniej tego nie mówił, boś sam je kupował ode mnie.

Oba te zarzuty były prawdopodobnie zrobione z jednakową dobrą wiarą.

Roustan uciekł się jedynie do świadectwa zwierzchników swoich i kolegów. Wszyscy dali o nim jak najświetniejszą opinię. Dwaj byli ministrowie: Waddington i Saint-Hilaire zaświadczyli, że nie przedsięwziął nic w sprawach politycznych bez ich wiedzy i woli. Z urzędowych dokumentów znali dobrze stosunki jego ze wzmiankowanemi tu osobistościami i widzieli ich konieczność. Z zupełną stanowczością upewnić mogą, że Rouston na giełdzie nie grał i dziś jest tak biednym, jak przed 15 laty, wstępując na służbę. Co zaś do zarzutu sprowadzenia w osobistych celach wojny na Francyę, to jest on bezsensowny i dowodzi tylko zupełnej nieznajomości spraw tego rodzaju.

Pozostawało jeszcze zbadać, co zawierały owe dokumenty Boschosa i usłyszeć, jaki to dyplomata dał Rochefortowi objaśnienia do czynników tunetańskiej sprawy. Ale właściciel dowodów nie pozwolił na publiczne czytanie ich, wydelegowano więc dwóch komisarzy, którzy mieli przejrzeć je i zawyrokować.

Po zbadaniu oświadczyli, że nie zawierają one nic, co by mogło kompromitować Roustana, a co do tajemniczego dyplomaty, to Rochefort oświadczył nareszcie, że mówił mu o tem... Mohamed-Effendi, jeden z dowódców powstańczego oddziału. Sala sądu szczerze się rozśmiała. bo o takim dyplomacie nikt nigdy nie słyszał, a stanowisko jego w stosunku do Francyi nie wzbudzało zaufania.

Pomimo to wszystko, Rochefort odniósł zwycięstwo.

Co mianowicie skłoniło przysięgłych do wydania takiego orzeczenia — trudno zrozumieć.

Gazety do tej chwili nie przestają robić różnych przypuszczeń.

Jeneralny prokuratór, kończąc swoją mowę, upewnił przysięgłych, że jeżeli oni nie uznają w słowach Rocheforta potwarzy, on spełni swoją powinność i wystąpi z oskarżeniem przeciwko Roustanowi. Adwokat Rocheforta zaliczył ten ustęp do zwrotów retorycznych i dowodził, że nic podobnego stać się nie może. Zdaje mi się jednak, że jeżeli minister uważał za potrzebne liczyć się z opinią dziennika, to jeneralny prokurator państwa powinien uznać głos dwunastu obywateli za wskazówkę swego obowiązku. Dla Roustana nic może być nic pomyślniejszego nad taki obrót rzeczy, — to jedno dałoby mu możność zrehabilitowania swej uczciwości.

K. Ter.

Józiek zjawił się przed nim uśmiechnięty tryumfująco; wysunął rękę z za pleców i podał mu parę trzewików nowych, nowiusieńkich. z mosiężnemi dziurkami na wysokich obcasach! Jasio spoglądał to na trzewiki, to na uśmiechniętą twarz kolegi, nie rozumiejąc, co to miało znaczyć.

— Bierz, głupi. to dla ciebie — rzekł Józiek z miną władcy, wręczającego order zasłużonemu dygnitarzowi. Jaśko nie dowierzał swemu szczęściu. przycisnął gorąco rękę kolegi do swych ust. Józiek wysunął rękę z wolna.

— Poczekaj, to nie wszystko. Na Wielkanoc może kurtkę kupię— rzekł, siadając obok niego. Mam tam kilka groszy w zapasie; bo teraz to kiepsko idzie! Dziś z jatek ledwie-że umknąłem. Nie daj Boże zadawać się z babami! Ściągniesz u niej jakie kilka złotych. a krzyku na kilka rubli narobi! A co bóty, dobre?

Jasio wysunął odziane nogi i przyglądał się im z zadowoleniem. Za najszczęśliwszych dni nie zaznał takiego zbytku!

— Chyba na świecie lepszych niema — odrzekł.

— Masz tam jaką kopiejkę?

Jaśko wydostał z zanadrza kilka miedziaków.

Józiek wziął i odszedł w milczeniu.

Za parę tygodni dotrzymał słowa: kupupując sobie odzienie, kupił mu noszoną kurtkę i czapkę na tandecie. W kwietnią niedzielę przystroili się obaj i poszli do katedry. Parę razy przedtem Jaśko zaglądał w tę stronę; muzyka wabiła go, a i wspomnienie pacierza snuło się po głowie. Lecz ile razy zbliżał się do kruchty, żebraczki gnały go kijem, lękając się oberwanego współzawodnika; próbował wejść przebojem, oberwawszy kilka szturgańców. plunął w same oczy jednej, drugiej babie i pobiegł ze wszystkich sił przez plac, rad, że rzucony w ślad za nim kamień tylko końce pięty zadrasnął. Dziś wpuszczono ich bez oporu; wyglądali jak chłopcy rzemieślnicy. Józiek miał nawet czerwoną chustkę na szyi. Stanęli przy drzwiach: Jasio oglądał się lękliwie. „Poprobuję pacierza"— pomyślał. Przeżegnał się, ale dalej nie szło. Nigdy nie był mocny w pacierzu, a przez kilkomiesięczne wakacye zapomniał wszystkiego, co umiał. Zwrócił oczy na chór: tam grali; słuchał... Powoli obejmował go żal i strach jakiś, tulił się do ściany, miął czapkę w ręku... naraz zdało mu się. że kobieta siedząca pod filarami. to jakby jego matula... taka blada. schorowana... i patrzy na niego smutnie, zupełnie tak, jak wówczas przed śmiercią, kiedy mówiła: „Nie kradnij Jaśku! Oh, nie kradnij!... Patrzał i ona patrzała. Włosy powstawały mu zwolna na głowie, i tak robiło się gorąco, aż nogi chwiać się zaczęły.... w uszach wciąż brzęczało: „Nie kradnij!" Usta zadrgały, o mało się nie rozpłakał, tak go żal jakiś ścisnął za gardło... gdy wtem Józiek szturgnął go łokciem i pociągnął za rękaw:

— Patrzaj, Antek malarczuk, ot tam koło chorągwi... widzisz? Na książce czyta! Myśli, że wielki frant!

Wykrzywił usta szyderczo — oczy zaiskrzyły się złośliwie.

— Chodź, dosyć już tego dobrego! — szepnął.

We drzwiach nałożył czapkę i powlókł się naprzód. Drogą zły był, jakby markotny czegoś. nie mówił ani słowa. Przyszli na placyk przed bonifraterskim kościołem. Słonko grzało, miejscami trawka zieleniła się na dobre, powietrze pachniało wiosną.. Przysiedli pod krzakiem. Jaśko pochylił głowę, mrużył oczy. słonko grzało go w plecy, a wiosenne powietrze tak jakoś do snu kłoniło. Józiek zgarbił się, głowę oparł na kolana i patrzał ponuro przed siebie. zmarszczył czoło, włosy najeżyły mu się. wyglądał raczej na steranego włóczęgę. niż na podrostka wyszłego zaledwie z lat dziecinnych.

— Spisz! — rzekł, trącając Jaśka w ramię. Jaśko podniósł głowę.

— Ten Antek to dureń — mówił dalej, jakby do siebie, był dawniej razem ze mną u szewca... teraz on niby czeladnik... majstrem będzie... taki on będzie majster, jak ja muzykant! Chorągiew niesie za procesyą... chłopcy czapki przed nim zdejmują... figura! Wykrzywił się szyderczo. Żeby ja chciał, takby dał jemu w łeb kamieniem, i

WYCHOWANIE I HISTORYA.

Naprzód w wykładzie publicznym, później w miesięczniku *Nord und Süd*, a następnie w osobnej broszurze [1]) znany psycholog i filozof, prof. dr. Lazarus ze zwykłą mu jasnością rozebrał jedno z ważniejszych zagadnień pedagogicznych — stosunek wychowania do historyi. Właściwie, jak czytelnika przekona poniższe streszczenie, autor nie pozostał w ramach tego jedynie przedmiotu i przebiegł po szeregu innych; tem nie mniej wysnuł pasmo myśli poważnych i trafnych.

Wychowanie i historya — powiada on — zostają w wzajemnej od siebie zależności. Ponieważ jednak ta ostatnia może być pojmowaną dwojako: jako nauka i jako miniona rzeczywistość, będąca wyrazem rozwoju ducha ludzkiego, przeto autor zastrzega, że ma na myśli jedynie historyę w drugiem znaczeniu — „jako mistrzynię życia".

Każdy naród ma w danym okresie swego rozwoju osobny ideał, do urzeczywistnienia którego dąży dwiema drogami: przez urządzenia polityczne i wychowawcze. Pierwsze z nich są właśnie wcieleniem tego zbiorowego ideału, drugie usiłują podnieść dorastające pokolenia do jego wysokości. Dlatego, chociaż czyny polityczne i zasady pedagogiczne wyrastają tym sposobem z jednego korzenia i rozwijają się równocześnie, ideał wychowawczy pozostaje w zależności od życiowego, politycznego. Wychowanie znowu ma tę przewagę, że społeczeństwo łatwiej poznaje swoje cele ostateczne. Ojcowie wiedzą zwykle lepiej, po co posyłają swe dzieci do szkoły, niż do czego ostatecznie dążą w społeczeństwie. Zupełna samowiedza zarówno w jednym jak i w drugim zakresie działania jest zjawiskiem rzadkiem. Chłopiec powinien być pilnym uczniem, dobrze składać egzamina, przynosić chlubne świadectwa, ale jakiego celu ma przez to dopiąć, — na to nie sili się odpowiedzieć umysł ojcowski. I samo państwo częstokroć każe podobnie kształcić młodzież, zapominając, niestety, że ideał ucznia nie zawsze godzi się z ideałem obywatela.

Ową zależność dążności wychowawczych od ideałów życiowych narodu łatwo stwierdzić można przykładami, zaczerpniętymi z historyi. W wiekach średnich, gdy ustrój społeczny wspierał się na hierarchii, feodalizmie, pańszczyznie — wychowanie było na wskroś klerykalne, wadliwe i dostępne jedynie dla bardzo szczupłej garstki wybranych. Taką samą odpowiedniość znajdujemy i w nowszych czasach. Z jednej bowiem strony widzimy rozwój indywidualizmu, ogarniający wszystkie sfery życia społecznego; widzimy zamiast hierarchii, powszechne kapłaństwo, powszechne prawo udziału w obradach nad sprawami publicznemi, powszechną służbę wojskową; z drugiej — powszechne, czasami nawet przymusowe nauczanie. Przyczynowy związek między polityką a kierunkiem wychowania jest tutaj łatwym do pojęcia. Jeżeli państwo daje każdemu obywatelowi prawo do udziału w rządach, musi jednocześnie dbać o to, by go do tej roli przygotowano. Gdzie nie ma narodowej szkoły, a więc nie wszyscy są w stanie rozumieć sprawy społeczne i polityczne, tam powszechne prawo głosowania jest niemożliwem.

Tyle o ogólnym związku historyi z wychowaniem. Z kolei Lazarus przedstawia rodzaj i rozmiary ich wzajemnej zależności.

Pospolicie mniemają i nie bez słuszności, że postęp ludzki zawisł od wychowania. Rzeczywiście, przeszłość, a raczej to, co się wyraża w historyi, stanowi pewną cywilizacyjną zawartość, wychowanie zaś jest środkiem przekazania jej pokoleniom następnym. Gdyby więc nagle zostało wstrzymanem, wszystkie arterye kultury w narodowym organizmie byłyby przecięte. Ale nie dosyć tego. Wszystko, co ludzkie, jest niedoskonałe, ale zato dąży do doskonałości, do ideału. Otóż wychowanie nie powinno powtarzać wiedzy przeszłej, lecz snuć dalej nić rowoju. Innemi słowy: ideały przeszłości dążą do urzeczywistnienia się w teraźniejszości, ta zaś swoje dążenia pragnie spełnić, za pomocą wychowania, w przyszłości. Każda epoka winna być nie tylko dalszym ciągiem poprzedniej, ale nadto przewyższać ją siłą, oraz bogactwem myśli i czynów.

Cóż więc w tym celu uczynić możemy? Geniuszów i bohaterów stwarzać przecież niepodobna. Możemy jednak naprzód: wszystkie siły społeczeństwa wprowadzić w ruch i współzawodnictwo. Ludy kastowe mają za godło tradycyę, ślepe naśladowanie treści, uzdolnień i metody swoich przodków; dla tego też prędzej czy później znikają. Każda pozostałość kastowego ustroju staje w poprzek postępowi. Dopuszczenie wszystkich do ogniska wiedzy, powszechne kapłaństwo w świątyni ducha — oto jedyny warunek pomyślnego rozwoju. Nadto możemy postarać się, ażeby dorastające pokolenia nie nabywały gotowej wiedzy — bo i to byłoby tylko naśladownictwem — lecz żeby wyrabiały w sobie pod kierunkiem nauczycieli jedynie zdolność i skłonność do oświaty. Powinien się w nich powtarzać ten sam proces rozwoju, przez jaki przechodziła ludzkość cała. Fałszywa to droga karmić młody umysł gotowemi wiadomościami, formułami i ogólnieniami; niechaj je uczący się sam z przykładów i doświadczeń wysnuwa. Wprawdzie szkoła nie jest miejscem odkryć i wynalazków, ale to, co światu znanem jest oddawna, młodzież powinna wynajdywać i odkrywać na nowo.

Tu przerwiemy rozumowanie autora stanowczym protestem. Upodobnianie rozwoju człowieka do rozwoju ludzkości — tak naiwnie pielęgnowane w nowszej pedagogice i u nas nawet bronione z zapałem godnym lepszego użytku — jest według nas dziwolągiem logicznym, zawdzięczającym swoje istnienie dowodzeniu przez podobieństwa. Przedewszystkiem człowiek w żadnej dobie swego życia nie może być ściśle porównany z ludzkością w pewnej epoce. Umysł dziecka nie jest umysłem dzikiego — mimo wielu podobieństw. Byłoby nadto postępowaniem wprost niedorzecznem skazywać każdą jednostkę na te omyłki, błędy i trudy, przez jakie przechodziła ludzkość. Wychowanie starać się winno koniecznie o to, ażeby możliwie najmniejszym wydatkiem pracy zapewnić człowiekowi możliwie największy rozwój— co przy powyższej zasadzie jest niepodobieństwem.

Nierównie większą jest zależność wychowania od historyi. Młodociany umysł, kształcąc się, pozostaje pod nieustającym wpływem ludzi dojrzałych i współczesnego mu otoczenia. Edukacya nie da się w żaden sposób oderwać od ogólnego tła, na którem się dokonywa. Kierownikowi może się zdawać, że jego metoda jest samoistną, że wypływa niejako z wolnej jego woli, ale w istocie przekazuje on swemu

[1]) *Erziehung und Geschichte*, Lipsk i Wrocław, 1881.

---

cóżby mi kto zrobił? Eh, tylko nie chcę! Splunął przez zęby, odwrócił głowę.

— Byłeś u szewca?—spytał Jaśko.

Milczał, chude palce zasunął we włosy twarde jak szczecina.

— A był — odrzekł po chwili — uczył się dwa lata, i nauczył się wiele! Zamiatał stancyę, nosił wodę, chodził po wódkę dla czeladników... to jeszcze najlepsze było, drogą tam chłyśniesz, a na to miejsce wody dolejesz, choć w żołądku ogrzeje się trochę... a to nieraz głodem mrzeć trzeba było. Ukradniesz bywało jaki kawałek parszywej skóry, to tak da pociągaczem, jakbyś mu duszę wydarł. Uciekłem, bo mnie kłuło jadło. Innym łatwiej było... każdy miał kogoś ze swoich w mieście; za jednego matka prosi, za drugiego ojciec, trzeci ma tam choć ciotkę jaką, co szewcowej sera czy bułkę przyniesie... a ja... z pod płota — krewnych ani psa... Majster wziął dla tego, że wyglądałem silny jak wół... ale i najsilniejszemu nie zawsze siły stanie!

Zamilkł. W głosie drgał żal stłumiony szyderstwem; żeby oczy umiały płakać, to choć jedna łza wymknęłaby się z pod powieki. Oczy zostały suche, tylko twarz zbladła więcej jeszcze, a usta krzywiły się z coraz większem szyderstwem.

Tego wieczora Jaśko daremnie czekał na kolegę; poszedł spać sam jeden, ułożywszy uprzednio odzież i czapkę w żłobie pod ścianą.

Dniać już zaczynało, gdy raptem drzwi ktoś otworzył z hałasem. Jaśko wysunął głowę z pod słomy. Za uszakiem przyczajony stał Józiek, bez butów, bez kurtki, z koszulą rozpiętą na piersiach, drżał cały, przysiadał, to podnosił się na palcach, głowę przyłożył do ściany, chwilami zdawał się przysłuchiwać uważnie, oczy błyszczały jak u zwierza w zasadzce, drżące ręce szukały czegoś w koło szyi... znalazły. Uspokoił się nieco, obie ręce przycisnął do ust gorąco!... Na piersiach, na brudnym sznurku wisiał stary, mosiężny medalik. Kto i kiedy zawiesił go, trudno zgadnąć. Chłopak nie pamiętał, i nie myślał o nim nigdy! Naraz w strasznej chwili coś go tknęło. Zbladłe usta całowały medalik coraz goręciej. Na dworze powstała wrzawa, kilka głosów dawało się słyszeć za bramą... głosy i kroki zbliżały się coraz więcej.

— Czy to ty Józiek? — spytał przerażony Jasio.

— Milcz! — zawołał, rzucając nań wiązką siana!

Otworzono drzwi znowu, kilku ludzi weszło do stajni.

Gdy rozwidniało zupełnie, Jasio odważył się wyjrzeć z pod słomy, nie zobaczył już Józka. Dorożkarze zaprzęgający konie rozmawiali między sobą:

— Ej to dobrze!... Urwis, znał się ze wszystkimi włóczęgami... ja to już dawno gadałem, że jemu na szubienicy wisieć!...— mówił jeden.

Drugi też coś mruczał, smarując koło.

— Wzięli dyabli jak swego — doleciało do uszu Jasia. Serce mu zamarło z żalu i ze strachu; wylazł ze słomy, przyczołgał się w stronę rozmawiających — ten pochylony gada tam coś, pewnie o Józku, ale słyszeć trudno... podkradał się coraz bliżej, stłumił oddech... podpełzł aż do samej dorożki. W tem koń zarżał, kopnął nogą... a w tejże chwili jęknęło coś głucho!...

Dorożkarze podskoczyli w tę stronę. O parę kroków od dorożki leżał Jasio z rozbitą czaszką; krew zalała mu twarz w mgnieniu oka.

— Ażeby jego! toż to ten malec! czego jego tu licho niosło pod samego konia! — mówili, podejmując półmartwego dzieciaka.

Obleli wodą, ułożyli na słomie i wyjechali. Pora na pociąg, spóźnisz się to cały ranny zarobek stracony!...

Chłopak leżał bez życia; z pod żłobu wyjrzał Żuczek, ziewnął parę razy, machnął ogonem, spostrzegłszy leżącego Jasia, jakby zdumiał się, postąpił zwolna ku niemu.

Struga krwi spływała spokojnie z czoła na twarz i ginęła za kołnierzem koszuli. Żuczek patrzał na to czerwone pasmo, pochylił się nad zbladłą twarzyczką... liznął raz, drugi i zlizał do ostatniej kropelki!

Ostoja.

uczniowi to, co się w nim samym wyrobiło pod działaniem warunków. Każda strona społecznego życia, każda charakterystyczna jego cecha odbija się w wychowaniu. Zarówno forma rządu, jak stosunek stronnictw, zarówno budżet państwowy, jak system podatkow: wszystko to oddziaływa na ducha i organizacyę szkół. W tej samej mierze wychowanie zależy od historyi. Jak z dzieci rodziców zdemoralizowanych trudno zrobić wzory moralności, pomimo wszelkich zabiegów szkoły, podobnie całe pokolenie ulega zepsuciu, jeżeli poprzedzające uległo rozkładowi. Jedynie prawo reakcyi, nie zawsze przychodzące w pomoc, może w takim razie podnieść poziom obyczajów.

Wielkie epoki w życiu ludów również swój wpływ wywierają na wychowanie, wywołują bowiem naprężoną jego działalność. Im szybciej kroczy naród po drodze cywilizacyi, tem usilniej musi pracować pedagogika, by dorastającego pokolenia nie zostawić w tyle. Podobnież doby klęsk i nieszczęść odciskają swe znamię na wychowaniu. Nad brzegiem przepaści społeczeństwo dochodzi zwykle do uznania swych błędów i reformami pedagogicznemi stara się uchronić potomstwo od niebezpieczeństwa. Dosyć jest przypomnieć sobie przewodni cel wielkich pedagogów ostatnich stuleci, ażeby się dowodnie przekonać o zależności wychowania od dziejów. Rousseau, Pestalozzi, Fichte, Schiller, mieli na widoku cele polityczne. Jeżeli dana generacya, przy właściwych jej warunkach psychicznych, nie zdołała osiągnąć skończonej formy państwa, to i pokolenie następne braków nie zapełni, błędów nie poprawi, jeżeli pozostawać będzie w tychże warunkach.

Okresy np., odznaczające się szczególnym rozrostem militaryzmu, wnoszą również do szkoły surową, wojskową dyscyplinę. Ciekawego przyczynku do tej sprawy dostarcza nam dokument przełożonego pewnej szkoły szwabskiej. Czytamy w nim, że w przeciągu 51 lat dano uczniom około 1.000,000 uderzeń kijem, 125,000 rózeg, 21.000 łap, 136,000 policzków i kilka milionów innego rodzaju kar za nienauczenie się abecadła łacińskiego, katechizmu i tym podobne przewinienia. Czemże jest teraźniejsza ścisłość egzaminów, jeśli nie pozostałością czasów szkolnej inkwizycyi? Przymusowa pilność sprzeciwia się naturze. Młodość powinna być urozmaicana jak najczęstszemi rozrywkami. Zresztą karność egzaminacyjna chybia zupełnie celu. Porównajmy tylko korzyść, jaką czerpie dziecko w swobodnie czytanych opowiadaniach historycznych, z tą, jaką mu przynosi zapamiętywanie naszpikowanego datami kursu, a przestaniemy wątpić o tem. Ale również szkodliwą jest i druga ostateczność, mianowicie metoda uczenia za pomocą zabawy. Podobny system jest wysoce błędnym. Nie zapominajmy, że nie posiadanie wiadomości, lecz możność ich nabywania jest najcenniejszym owocem szkoły. Strzeżmy się utożsamiać naukę z zabawą, by w umysłach dzieci nie zatarła się różnica między obowiązkiem a swawolą, między pracą a zabawą. Pedagogowie wprowadzają zwykle jeszcze większe zamięszanie w pojęcia dzieci przez zadawanie im lekcyj karnych. Jak karcenie fizyczne szkodzi i chybia celu, podobnie też uczenie się za karę wierszy niekorzystnie oddziaływa na umysł młody, bo mąci jego jasność. Nauka staje się dlań synonimem cierpienia, udręczeń, a wiersze zamiast wzbudzać szlachetny zapał, budzą w niem wstręt.

Na naukę i na zabawę należy wyznaczyć osobne godziny, przyczem czas odpoczynku powinien być dłuższym od czasu poważnych zajęć i o ile możności obracanym na usługi tych ostatnich. W związku z tem stoi kwestya pracy i odpoczynku dojrzałych, którą możnaby sformułować w następujący sposób: Usługi oddawane w danej specyalności społeczeństwu są czynnością wytwórczą, naturalną jest tedy rzeczą, że powinna być ona wynagrodzoną przez czynność spożywczą; to znaczy, że chociaż nie każdy, działając jedynie w zakresie swojego fachu, przyczynia się do wzrostu innych gałęzi życia, mianowicie sztuk, nauk i całego polityczno-cywilizacyjnego ruchu, jednakże każdy powinien z nich korzystać. W każdej duszy powinien się odzwierciedlać cały świat współczesnych pojęć. Należy mieć to na względzie przy szkolnym podziale czasu na pracę i zabawę; godziny pracy są właśnie tą czynnością produkcyjną, przygotowaniem do przyszłej roli w społeczeństwie; godziny odpoczynku powinny być zatem czynnością recepcyjną — spożywaniem owoców innych dziedzin myśli. Przy tej sposobności zauważyć musimy, że wielka myśl wielu pedagogów, iż należy młodzież zawczasu zaznajamiać z polityką, ekonomią i prawem, powinna być uwzględnianą w programie czynności produkcyjnych, jako główny warunek należytego pojmowania obowiązków obywatela. Na zapytanie, jak zaszczepić w młode umysły te tak trudne pojęcia, Lazarus odpowiada zapytaniem: Jak się w nie wpaja pojęcie o prawach natury, o moralności?

Związaliśmy w krótkie streszczenie główne jedynie myśli Lazarusa, nie dotykając wielu szczegółów, które wszakże na uwagę pedagoga zasługują. Broszura ta nawet byłaby niezłym nabytkiem literatury przekładowej u nas, gdyż sprostowałaby wiele pojęć bądź przestarzałych, bądź nieudolnie wykoszlawionych przez improwizacye pedagogiczne, któremi nasza niwa dziennikarska bardzo bujnie porasta.

H.

OPOWIEM JAK BYŁO.

„A wiem — słyszałem!... Tak — winszuję!
Pan to, doprawdy, szczęście ma:
Ja tyle czasu już poluję,
Człowiek się zawsze darmo struje
I same tylko troski zna..."

Tak, niezły geszeft się zrobiło,
No, ale spocznijże pan, siądź!
Udało mi się, że aż miło
Opowiem panu, jak to było,
Bo to nie każdy umie wziąć.

Co prawda, na kimś to się skrupi...
Idę na giełdę, ze mną syn;
Patrzę, u wejścia ludek głupi
Jak stado owiec wciąż się kupi...
Jest coś ważnego — widzę z min!

Więc jakem tylko wszedł w podsienie,
Pytam się: co też słychać tu?
Mówią, że upadł bank w Modenie,
A ja tu pełne mam kieszenie
Modeńskich akcyj!... Kołu stu!...

Miła historya! — Pchnąłem syna:
Leć mi po Kaspra, leć mi wraz!
A sam ni mru-mru!... Gęsta mina:
At! — mówię — bajka, nie nowina!
Ja o te akcye proszę was...

Nadbiega Kacper, za nim pięciu.
To szelma! sprawę zwąchał w lot!
No, wielem winien i dziecięciu...
Też zuch, już widzę po zacięciu —
Jego nie trzeba uczyć psot.

Przypadł więc Kacper nasz i woła:
„Modeńskich akcyj!... Co kto ma!"
Ludziska dziwią się dokoła,
Widzę — jaśniejsze jakoś czoła,
A ten w zapale swoim trwa...

Anibyś poznał pan, że traci;
Nadeszła reszta moich sług:
Każdy Modenę słono płaci...
Tak zapalili głupszych braci,
Że — mówię panu — kupców huk!...

Sprzedałem wszystkie!... Dziś kto kupi,
To chyba nędzy pragnie swej...
Co prawda, na kimś to się skrupi,
No, ale trudno: płać kto głupi!
A co, zabawne? Śmiej się! śmiej!...

QUELLE IDÉE!

Doprawdy, nie wiem sam, co zrobię:
Dwudziesty trzeci rok tuż — tuż,
A ja tu w domu siedzę sobie.
Już czasby studya zacząć — już.
Chciałbym się jakimś zająć fachem,
Lecz nie wiem, jak... Papeczko, radź.
„Mais quelle idée! Siedź tu pod dachem
Ojcowskim — Wólkę na to stać!"

Chciałbym się oddać medycynie:
Zawód szlachetny, pewny chleb;
Karol oddawna z leków słynie,
Toć przecie człowiek, też nie kiep!
A jeśli wierzyć jego słowu —
W wytrwaniu sekret sławy tkwi...
„Mais quelle idée! Toć przecie znowu
Nie myślisz chłopom puszczać krwi!"

Możeby pójść na adwokata:
Też można ludziom ulgę nieść;
Człowiek rabusiów, panie, zmiata
I ukradzioną zwraca cześć...
Trzeba coś obrać raz nareszcie;
Chyba na *prawo* przyjdzie iść?!
„Mais quelle idée! Czy chciałbyś w mieście
W śród tałatajstwa piórka gryźć!"

Więc cóż ja zrobię? Niech mię trzysta!...
Na inżeniera pójść — czy jak?
Człek dotąd żył, jak egoista —
Toć już nie można dłużej tak!
Wszak musi każdy też ze siebie
I społeczeństwu cząstkę dać...
„Mais quelle idée! Już proszę ciebie,
Siedź w domu; Wólkę na to stać!..."

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Tajemnice Afryki, L. Jacoillota, tłom. K. Jurkiewicz. Warszawa, Gebethner i Wolff, z 32 rycinami str. 530.

Nazwisko Jacoillota jest w literaturze podróżniczej bardzo dobrze znane. Jego *Voyage au pays des bajadères* wyrobiła mu dość szeroki i z wielu względów dość zasłużony rozgłos. Nie jest on podróżnikiem w rodzaju Verne'a, gdyż rzeczywiście był na Ceylonie a nawet z podań tam zebranych usnuł legendę o Adamie i raju; nie jest wszakże badaczem ścisłym i zawsze opowieści swoje przetykał i ozdabiał fantazyą. Ta skłonność, która na polu naukowem może być tylko szkodliwą, w popularyzowaniu wiedzy etnograficznej staje się nieocenionym przymiotem. Dowodu na to dostarczają nam właśnie świeżo ogłoszone w polskim przekładzie *Tajemnice Afryki*. Autor zebrał najświeższe odkrycia we wnętrzu tej części ziemi i uwił z nich tak ciekawy wątek zdarzeń, że książka pochłania uwagę czytelnika od pierwszej do ostatniej stronicy. Przyznać trzeba, że bogatym też i niezwykłym rozporządzał materyałem. Livingstone i Stanley odkryli czarodziejski świat nowych widoków życia i natury, z którego można jak ze skarbca czerpać tematy do zajmujących obrazów. Nagromadził przygód, niebezpieczeństw, niespodzianek, walk z ludźmi i zwierzętami — nietrudno tam, gdzie cywilizacya jeszcze nie przetarła swej drogi, gdzie wszystko jest nowem, niezwykłem i cieka-

wem. Wyobraźnia zbyt się tu nie napracuje, ale ostatecznie pracować musi. Zachodzi więc tylko pytanie, czy Jacoillot wyzyskał nią należycie materyał? Kto czytał jego podróże, nie mógł o tem wątpić. W osnowę książki wprowadził mnóstwo wiadomości etnograficznych, które są właściwym zyskiem czytelnika. Jego bohaterowie wszystko w swych wędrówkach widzą i wszystko opowiedzieć umieją. Jest to nowoczesna Robinsoniada, o tyle pożyteczniejsza od dawniejszej, że w fantazyjny potok zdarzeń porywa fakty i spostrzeżenia naukowe. Doroślejszej młodzieży *Tajemnice Afryki* dostarczą niezawodnie chwil nader przyjemnych. Przekład—gładki.

Bitwa pod Raszynem, powiastka historyczna. W. Przyborowskiego. Warszawa, Gebethner i Wolff.

Ciężkie, bardzo ciężkie brzemię włożył autor na barki swego młodziutkiego bohatera, przeprowadziwszy go przez szereg przygód, związanych z losami pamiętnej bitwy. Chłopczyna musi kilkakrotnie wpadać w ręce nieprzyjacielskie, siedzieć w piwnicy ze szczurami, uciekać z niewoli, wydobywać się od cyganów. Chociaż jednak ten nadmiar nieszczęść psychologicznie zbyt przeciąża jego siły, nadaje zato opowieści wielką żywość i trzyma uwagę młodych czytelników w wielkim natężeniu. Sam charakter przytem dziesięcioletniego patryoty, zahartowany w tylu ogniach, posiada wielki urok i niezawodnie obudzi śród swych rówieśników wiele uczuć szlachetnych. Wicher wojny rzuca nim jak liściem, a on opiera się tej sile i po swojemu ją zwycięża. Śmiało też rzec można, że praca p. P. należy do najszczęśliwszych w naszej literaturze dziecinnej, która zwykle jest bardzo poczciwą, ale bardzo nudną. Podczas gdy nasza poważniejsza wyobraźnia karmi się utworami soczystymi, każemy dzieciom pić ciepłą wodę. W kuchni pedagogicznej rzadko spotykamy tak smaczną potrawę, jaką jest książeczka Przyborowskiego. Nie zapominajmy przytem, że swym czytelnikom zapewnia ona również korzyść historyczną... *A.*

Matki i karmicielki, napisał A. Skórkowski. Wydawnictwo E. Orzeszkowej. Wilno.

Każdy mąż, którego żona bez innego powodu prócz niechęci do obowiązku wyręcza się przy dziecku mamką lub krową, powinienby jej kupić tę zacną książeczkę na gwiazdkę. Trudno o lepszą lekcyę dla matek lekkomyślnych. Autor naukowymi dowodami wykazuje ważność odżywiania dzieci i wyższość pokarmu macierzyńskiego. Tymczasem „najemniczemi karmicielkami i niezliczonymi sztucznymi przetworami, surrogatami mleka, starają się kobiety zastąpić pierś własną, a gdyby sama przyroda nie zakreśliła granicy wylamywaniu się z pod jej praw, kto wie, możeby do egipskiego pieca składano brzemię niejednego łona macierzyńskiego, by tam się wykluło.“ Macierzyństwo — powiada cytowany przez autora moralista francuski — jest jedynem bóstwem, które w całych dziejach ludzkości nie miało jeszcze odstępców.“ Jest to, na nieszczęście, paradoks, słuszny wtedy chyba jedynie, jeżeli macierzyństwo kończy się na urodzeniu dziecka a porzucenie go nie stanowi odstępstwa. Wszyscy wiemy a p. Sk. potwierdza, że kobiety coraz częściej i lekkomyślniej zamykają swe piersi dla własnych dzieci. Niejedna odda je mamce lub krowie dlatego tylko, ażeby nie zepsuła sobie... karnawału. Taką przekona bardziej może to, że karmienie jest pożytecznem dla jej zdrowia i... urody, niż to, że zmniejsza śmiertelność noworodków o 20%.

W r. 1788 pani Fougerot stworzyła zakład dla ubogich matek. „Potrzeba podobnej instytucyi dla naszego kraju — mówi autor — jest niemal paląca w bieżącej dobie. Jak wszędzie tak i u nas, liczba nieprawych dzieci i podrzutków wzrasta przerażająco, z czem w parze idzie wzrastająca śmiertelność nowonarodków i opuszczenie w późniejszych latach dzieci, stanowiąc olbrzymi kontygens dla rozmaitych przytułków, lecznic, osad rolnych, domów poprawczych itp.“

Podnieśliśmy tylko stronę społeczną broszury p. S. pozostawiając fizyologiczną ciekawości czytelniczek. Powtarzamy: broszura ta byłaby nader właściwym podarkiem gwiazdkowym dla matek: jedne poczerpią w niej część dla siebie a inne — przestrogę. *B.*

Kwiaty rodzinne, wybór poezyi polskiej, ułożony przez N. Żmichowską. Warszawa, Gebethner i Wolff, str. 488.

Przed sześciu laty Spółka Księgarzy Warszawskich zwróciła się do Gabryeli z prośbą o wybranie kwiatów do wydawnictwa bukietu poezyi polskiej. Gasnąca już wówczas poetka przyrzekła spełnić to zadanie, a dogadzając swojemu przekonaniu, pragnęła tak ugrupować wybrane wiersze, ażeby one odpowiadały „zmienności usposobień duszy,“ a nadto obok znanych poetów postawić „jak najwięcej mniej znanych.“ Zgon nie pozwolił jej tego dokonać całkowicie, na zbiorze wszakże (uzupełnionym przez Maryę B.) pozostało znamię jej pomysłu. Są w nim rzeczywiście grupy wierszy przeznaczonych: na chwile religijnego nastroju, wspomnień historycznych, poranne, nocne, na chwile zapału, ironii, żartu itd. O ile ta klasyfikacya ma swoją wartość, o tyle nie możemy zgodzić się na szczególne uwzględnienie kopciuszków Olimpu. Zbiory tego rodzaju powinny być zawsze *kwiatami* poezyi, uwolnionymi od jej badyla. Niejeden wieszcz, wart co najwyżej chwały w prywatnym albumie, daremnie usiłuje tu zająć nas obok Mickiewicza, Słowackiego, i Syrokomli. Nie myślimy w tej uwadze wyrażać smaku do takich jedynie fig, które się odcukrowały, do utworów dawniejszych. Owszem, z przyjemnością spotykamy żywych i młodszych: Asnyka, Konopnicką. Szymanowskiego i innych. Trudno np. nie przyznać prawa do zaszczytnego miejsca pięknej opowieści ostatniego: „Jako żyd Boruch dostał basarunek;“ ale trudno zarazem napawać się bańkami mydlanemi, które mniej zdolni ze swych poetycznych słomek puszczają. To pospolite ruszenie rycerzy polskiego Parnasu ma w *Kwiatach rodzinnych* tę chyba wartość, że pozwala czytelnikowi objąć naszą drużynę Apolina z bieżącego wieku, chociaż nie wszyscy stoją w szeregu (Miron, Gomulicki itd.) Zewnętrzna strona książki jest staranna i wytworna; szkoda tylko, że i tu natrafiamy na piętę Achillesową wydawnictw polskich — niedostateczną korektę (np. *brunatne* zamiast *brutalne* siły itp.) *S.*

Cerber, drobiazgi literacko-artystyczne, zebrał Alfabet. Wilno.

Trzeci to już (*Argus*, *Bodziec*) zbiorek humorystyczny rodzi się na bruku wileńskim. Czy humorystyczny? bo o to głównie chodzi. Bez wątpienia znać w nim brak odpowiednich sił, oraz pewne skrępowanie, posiada on jednak kilka iskierek prawdziwego dowcipu a nadewszystko ujawnia szczerą chęć uwolnienia swej muzy od zwykłej u nas... tłustości. Dzięki ciasnocie koła przedmiotów, które satyra swym śmiechem obrzucać może, niepodobna prawie wyobrazić sobie polskiego pisma humorystycznego bez pół-świątka, niewiernych żon i rozpustnych mężów. Dowcip nasz stał się uderzająco lubieżnym. *Bodziec* nie swawoli językiem dla rozweselenia kawalerskiego grona, lecz pragnie drwić z ułomności społecznych. Z tej sfery ułożony „wyciąg z ksiąg buchhalteryjnych dóbr X“ jest wyborny. Ironia jego jest nieraz bardzo ciętą. Np... rozmowa w wagonie. „*Pozytywista*. Czy lubisz pan pływać po morzu? *Idealista*. Przyznam się panu, nie bardzo, zanadto się tam jest w ręku boskim.“ Naturalnie, żyd, wieczny tułacz humorystyki, i tu dostał kilka dotkliwych... *bodźców*.

Wilia i Na grobie Lirnika, dwa poematy F. Łopatyńskiego. Wilno.

Jeżeli 13 stronic druku małej osemki, zawierających dwa poematy, występuje jako osobna książka, to nasuwa się przedewszystkiem pytanie, czy nie była to jedyna forma, w której autor mógł ogłosić swoje utwory? Domysł ten nabiera wielkiego prawdopodobieństwa w ich wartości. Zarówno rozmowa z Wilią, jak i żale na grobie lirnika, nie odznaczają się ani natchnieniem poetycznem, ani wprawą wierszowania, które zwłaszcza w rytmie jest bardzo kalekie i niewolne od wyrażeń duchowi naszego języka obcych („*Lirnikiem* opiewany“). Jedyną tedy wartością tej książeczki jest kilka nut rzewnych i sympatycznych, które w niej dźwięczą.

Owczarstwo, przez Juliusza Sypniewskiego, poszyt I. Warszawa.

Naprzód hołd odwadze. P. S. rozpoczął własnym nakładem wydawnictwo, które nie musi zbyt nęcić naszych ziemian, skoro nie pobudza kapitałów księgarskich — wydawnictwo kosztowne, drzeworytami i kartami opatrzone. W zeszycie pierwszym znajdujemy część zoologiczną, w której autor posługiwał się pomocą prof. uniw. lipskiego Bohma, historyczną, poczerpniętą z dzieł Lasteyrego, Neitschütza i Ig. Lipskiego, wreszcie spis owczarń i osobną kartą wyrażone drzewo genealogiczne znakomitych rodów owczych. Jest to pierwsza w literaturze naszej praca tak szerokich rozmiarów. Dodać należy, iż drzeworyty odznaczają się starannem odrobieniem. Ponieważ pragnęlibyśmy, ażeby tak poważne przedsięwzięcie nie przyczyniło strat śmiałemu autorowi, podajemy więc dla informacyi warunki kupna książki: pierwszy i ostatni zeszyt opłacają się zgóry rs. 2 kop. 20, inne po rs. 1 k. 10. Całość z przesyłką rs. 6 k. 60.

Gawędy ogrodnicze skreślił Gwiazdzic. Płock.

Znany pisarz ludowy w rozmowie proboszcza z włościaninem wykłada prostaczkom pożytek i potrzebę sadzenia drzew i zakładania ogrodów. Myśl tę niejednokrotnie rozrabiano w wydawnictwach ludowych a zawsze jej apostolstwo powierzano księżom. Onego czasu zalecił ją nawet w swym liście pasterskim biskup Baranowski. Zarówno jednakże ten głos kapłana-obywatela, jak i setki nawoływań literackich przebrzmiały bez echa tam właśnie, dokąd były skierowane. Księżanie zajęli się szerzeniem ogrodownictwa śród ludu. Czy więc nie należałoby zmienić adresu dobrych chęci? Kiedy gwałtem na bohatera w powiastkach mianowany ksiądz nie chce podjąć narzuconej mu roli, czy nie należałoby ją powierzyć innym przedstawicielom inteligencyi wiejskiej? *I. I.*

BADANIA HISTORYCZNO-MATEMATYCZNE.

W Nr. 11 *Prawdy* podaliśmy wiadomość o najstarożytniejszym z podręczników matematyki, wydanym przed czterdziestu prawie wiekami w Egipcie. Ciekawy ten zabytek wykazał, iż w tak głębokiej już starożytności istniała dość wysoko rozwinięta wiedza matematyczna. Że wiedza ta starożytnego Egiptu oddziałać musiała na inne narody starożytności, jest faktem zaprzeczyć się niedającym.

Prócz tej kultury istniała również głę-

bokiej starożytności inna, samodzielna i wysoko już rozwinięta cywilizacya w krajach nad Eufratem i Tygrem. Dzieje jej zaledwie uchylają się dla nas z pod głębokiej zasłony, jaką pokryła je przeszłość. Od niedawnego dopiero czasu uczeni umieją czytać owe dzieje, zapisane na skorupach glinianych, znajdywanych w gruzach i rumowiskach zaginionych siedzib chaldejskich. Pismo, którem pisane są te pamiętniki, dla szczególnego kształtu swego nazwane klinowem, jest daleko trudniejszem do odczytania od hieroglifów i hieratycznego pisma egipcyan; ale pomimo to dzielni badacze, pomiędzy którymi wymienimy Martina, Brandisa, Opperta, Rawlinsona, Hackinsa, Sayce'a, Smitha, Talbota, Lenormanta, niejedno już odgadli i niejedną tajemnicę wydarli gruzom. Zadanie ich wszakże dalekiem jest od ukończenia. Rozwaliny mieszczą w sobie wiele jeszcze tablic nieodcyfrowanych, zawierających bogaty materyał, który kiedyś odsłoni nam wiele ciekawych tajemnic z życia ludów chaldejskich.

W czasach przedhistorycznych naród pochodzenia turańskiego, nazwany sumerami, zeszedł ze skłonów gór altajskich na płasko-wzgórza Iranu, skąd dalej posunął się ku Chaldei. Do tego samego miejsca dążył z Baktryi inny naród, kuszyci—pokrewny hebrajczykom i arabom, a więc semicki. Spotkawszy się na gruncie chaldejskim, ludy te złączyły się i utworzyły państwo naprzód staro-asyryjskie ze stolicą w Niniwie, następnie babilońskie ze stolicą w Babilonie i znowu asyryjskie ze stolicą w Niniwie.

Nas tu zajmuje głównie wiedza matematyczna owej etnologicznej mięszaniny. Podajemy więc o niej wiadomość według znanej czytelnikom *Prawdy* z poprzedniego artykułu książki Cantora.

Wspomnieliśmy już, że w Chaldei pismo na tabliczkach glinianych zwano klinowem. Wielu badaczów sądzi, że pismo to było właściwe sumerom, nie ulega jednak wątpliwości, że służyło mowie semickiej, lubo w przeciwieństwie do każdego innego pisma semickiego postępowało z ręki lewej ku prawej. Do wyrażania liczb całkowitych używano trzech klinów: pionowego do oznaczenia jedności, kątowego z dwóch pojedyńczych złożonego do oznaczania dziesięciu i poziomego, który z pionowym, stojącym z lewej strony, oznacza setkę. Z tych elementów, obok siebie ustawianych, składały się oznaczenia cyfr, będących sumami liczb owym elementom odpowiadających. Przy oznaczaniu zatem liczb przeważała tak nazwana zasada dodawania. Niekiedy zaś pisano liczby według innej zasady, którą Hankel nazwał zasadą wielokrotności; w takich razach klin, postawiony przed znakiem pewnej liczby, był jej współczynnikiem, to jest wskazywał, że dla otrzymania jej należy inną liczbę odpowiednią ilość razy powtórzyć. Tak np. klin kątowy, postawiony przed znakiem setki, oznaczał, że setkę należy powtórzyć 10 razy; otrzymywano tym sposobem wyrażenie piśmienne liczby 1000. Ta liczba 1000 występuje znowu jako nowa jednostka, która przy pomocy tejże samej zasady służyła za podstawę do tworzenia oznaczeń liczb większych. Zdaje się jednak, że numeracya babilońska nie rozciągała się do miliona; przynajmniej nie znajdujemy dotąd odpowiednich śladów.

Co się tyczy oznaczenia ułamków, to na tabliczkach odszukano znaki odpowiadające ułamkom $^1/_6$, $^1/_3$, $^1/_2$, $^2/_3$, $^5/_6$.

Z poprzedzającego widzimy, że układ liczb całkowitych był przeważnie *dziesiętnym*. Ale obok tego istniał inny, odszukany w pomnikach piśmiennych, napisanych, jak się zdaje, przez istotnych matematyków i astronomów. Ten drugi jest *sześćdziesiętnym*.

Układ sześćdziesiętny został odkrytym przez asyrologa Hincksa. Na jednym z pomników uczony ten znalazł szereg znaków liczbowych, wyrażających, jaka część tarczy księżycowej jest widzialną w każdym z piętnastu następujących po sobie dni miesiąca. Otóż wedle mniemania Hincksa, znaki te wyrażać mają liczbę 240-ych części tarczy widzialnych każdego dnia; liczby im odpowiadające stanowią szereg najprzód arytmetyczny a od pewnego miejsca geometryczny i są napisane według układu sześćdziesiętnego. Ten domysł został najzupełniej sprawdzonym w skutek odkrycia nowych tablic w Senkerehu nad Eufratem, w starożytnym Larsamie. Geolog Loftus znalazł w r. 1854 dwie małe, niestety w części uszkodzone tabliczki, pokryte pismem klinowem. Jedna z nich zawierała na stronie przedniej i tylnej 60 wierszy stanowiących całość ciągłą. Każdy pojedyńczy wiersz zawierał z prawej i lewej strony cyfry, a pomiędzy niemi wyrazy sumeryjskie, z których jeden odczytano *ibdi*. Rawlinson poznał, że jest to tablica 60 liczb kwadratowych i że tym sposobem *ibdi* oznacza kwadrat, poczem można już było istotnie okazać, że liczby te są pisane według układu sześćdziesiętnego. Druga tablica okazała się bardzo ważną i ciekawą, albowiem na stronie przedniej zawiera porównanie dwóch układów miar, z których jeden jest sześćdziesiętnym, tylna zaś jej strona zawiera sześciany liczb po sobie następujących od 1 do 32, a że jest uszkodzoną, przypuszczać więc można, iż w brakującej części były sześciany liczb od 33 do 60. Wyraz *badie* na tej tabliczce oznacza sześcian. I tu stosowanym jest układ sześćdziesiętny.

W pisaniu liczb na tych tablicach użytą jest ta sama zasada, której my obecnie używamy w pisaniu liczb przy pomocy cyfr; znaki na tych tabliczkach, jak w naszym sposobie pisania cyfry, stoją obok siebie bez żadnego połączenia i posiadają wartość zależną od miejsca. Od tego sposobu pisania do użycia zera krok niewielki; czy babilończycy krok ten zrobili, tego z dotychczasowych tabliczek rozstrzygnąć nie można. Czekajmy na nowe wykopaliska w Senkereh, w których według zdania Sayce'a mieści się dużo materyału matematycznego. Być może, że znajdzie się tam materyał równie ciekawy, jak w papyrusie egipskim Amesa; być może, że znajdą się i tabliczki, z których będzie można odcyfrować datę ich napisania. Według zdania Sayce'a, sięgają one czasu między 2300 i 1600 r. przed nar. Chrystusa.

Oppert powiada, że można uważać za rzecz prawdopodobną, iż system sześćdziesiętny był rozwiniętym i w stronę liczb od jedności mniejszych, to jest, że babilończycy używali ułamków sześćdziesiętnych i że w takim razie mianownik oznaczano wprost przy pomocy miejsca. Takie znaczenie mają posiadać pewne podziały w przedniej stronie tabliczek z Senkereh.

Tyle wypowiedziały pamiętniki oryginalne; posłuchajmy teraz, co mówią późniejsi pisarze innych narodów. Josephus powiada, że sztukę liczenia wynaleźli chaldejczycy, od których miał ją praojciec Abraham do Egiptu sprowadzić. Teon ze Smyrny, żyjący w drugim wieku po Chrystusie, powiada, że przy badaniu ruchu planet egipcyanie kreślili figury, chaldejczycy zaś używali rachunku i że od tych dwóch narodów greccy przejęli swą wiedzę. Porphyrius (w końcu III w.) mówi: „od dawnych czasów egipcyanie zajmowali się geometryą, fenicyanie liczbą i rachunkiem, chaldejczycy twierdzeniami, odnoszącemi się do nieba."

Te podania dowodzą, że w najgłębszej starożytności rachunek był używany w tych krainach. Ślady tego rachunku, a szczególniej układu sześćdziesiętnego widoczne są w księgach hebrajczyków i greków; podział koła na 360 części, dnia na godziny, godziny na minuty, tej na sekundy, jest bezwątpienia pochodzenia chaldejskiego.

W jaki sposób babilończycy wykonywali swoje rachunki, mało co wiemy. Przypuścić można, że rachunek ten był bardzo rozwiniętym i że prawdopodobnie posiadali do niego pewien przyrząd, podobny do tych, jakie są dotąd używane w całej Azyi środkowej.

Co się tyczy wiedzy geometrycznej babilończyków, to o niej bardzo skąpe mamy do tej pory wiadomości. Z badań Sayce'a wynika, że istniała geometrya *wróżbiarska*, którą, bądź co bądź, za początki nauki uważać można i w której używano figur różnych n. p. złożonych z linij równoległych, kwadratu, trójkątów i t. d. W jednej z takich geometryi, przełożonej na język angielski, znajdujemy wyraz *tim*, oznaczający prawdopodobnie linię i znak podobny do litery rosyjskiej Ж, który według Sayce'a ma oznaczać „stopień kątowy."

W muzeum brytańskiem znajduje się odłamek, mający należyć do astrolabium, albo do czegoś podobnego, podzielony na cztery pola, pokryte pismem klinowem. Znaczenie napisów tych według Sayce'a jest takie, że podają one położenie czterech gwiazd w dwóch miesiącach, których nazwa jest przytoczoną. Położenie to jest wyrażone za pomocą 140°, 70°, 120°, 60° — stopień zaś oznaczony w sposób podobny do wyżej opisanego.

Babilończykom znanym był podział koła na sześć części równych i podział kąta prostego na trzy części równe, odszukany na tabliczce asyryjskiej przez G. H. Smith'a. Ta część wiedzy babilończyków przenikła do Talmudu i Miszny.

Znajomość kąta prostego i trójkąta prostokątnego wywnioskować można z zajęć budowniczych i astronomicznych. Gnomon wedle świadectw greckich ma być także pochodzenia babilońskiego.

Streszczając w krótkich słowach nasze dzisiejsze wiadomości o stanie wiedzy matematycznej w starożytnej Chaldei, możemy powiedzieć, że w arytmetyce spotykamy rozwinięty układ sześćdziesiętny, znajomość postępów arytmetycznych i geometrycznych, liczb kwadratowych i sześciennych; z geometryi podział koła na stopnie, znajomość linij równoległych, kątów, trójkątów i czworokątów.

Oto szczupła wiązka wiadomości, jakie mamy *dotychczas* o matematyce babilończyków. Mówimy: dotychczas — bo uczeni nie stracili jeszcze nadziei odszukania nowych szczegółów. Być, może, że w rumowiskach Senkerehu mieszczą się cenne skarby dla historyi matematyki starożytnej. Wydobycie tych skarbów rzuci nowe światło na prace ducha ludzkiego w zamierzchłej przeszłości.

S. Dickstein.

LIBERUM VETO.

Fałszywi denuncyanci, dostarczający mieszkańców Syberyi, i inkwizytorowie zadowoleni z wiedeńskiego pożaru. — Reformy w szkolnictwie. — Niedorzeczna improwizacya reporterska. — Potrzeba mostu dla szkół realnych. — Ograniczenie wykładu języków nowożytnych. — Kto nie ma nóg, czy może mieć ręce. — Projekt szkoły niedzielnej dla młodych robotnic. — Wieniec na mogile Kazimiery Aspis. — Artykuł, jakiego jeszcze nie widziałem. — Pochwała talentu za nr. 1345. — Gwałt *Tygodnika Rolniczego* popełniony na prezesach i radcach Tow. Kred. Ziems. — *Tompora mutantur*. — Klątwa kachału. — Żórawie noworoczne i *Przegląd Techniczny*. — Pożegnanie p. W. Landau. — Rehabilitacya prof. Trejdosiewicza.

Urzędowy *Journal de St.-Petersbourg* donosi, że departament policyi państwowej przejrzał ponowie 1,500 spraw osób, wysłanych drogą administracyjną. *Połowę* zło-

żono do akt, *znaczną część* zaś uznano za opartą na doniesieniach fałszywych, skutkiem czego ministerium sprawiedliwości domaga się ukarania denuncyantów.

Jedna z najbardziej rozpowszechnionych gazet niemieckich, ultramontańska *Mayener Volks-Zeitung* (nr. 147) tak się odzywa o pożarze teatru wiedeńskiego i spaleniu się tysiąca ludzi: „Gdyby na tem miejscu wzniesiono *religijny* zakład dla osieroconych dzieci Wiednia i gdyby cesarz Franciszek Józef oraz inne miłosierne serca obdarowały go szczodrze, byłbym już (autor) — *post factum horribile* — zadowolony, podczas gdy ofiarom — według doniesień dziennikarskich zrekrutowanym głównie ze studentów, kupców, jednorocznych ochotników i stadeł małżeńskich — które pożeglowały do lekkomyślnej zabawy a ostatecznie wylądowały w przystani wieczności, życzę z całego serca jak najlepszego przyjęcia na tamtym świecie.“

Fałszywy denuncyant i inkwizytor — to dwa najstraszniejsze potwory nowszych czasów; dla tego też nie mogłem odmówić czytelnikom przyjemności obejrzenia owych dwu typów w najświeższym ich przejawie. Co za pyszne wyrzutki cywilizacyi naszej: jeden strąca setki niewinnych ludzi w syberyjskie mrozy, drugi cieszy się widząc je w płomieniach. Autor hymnu radosnego w ultramontańskiej gazecie pozostanie nieznanym światu, ale fałszywych denuncyantów ministerium sprawiedliwości obiecuje odkryć i ukarać. Pręgierz taki potrzebny.

Pióro oparłoby mi się w dotykaniu innych spraw, gdybym niem nie napiętnował tych dwu, chociaż nas bezpośrednio nieobchodzących sromot. Używszy sumieniu, wróćmy do siebie.

„Ministerium oświecenia — jak upewniają gazety — podjęło myśl przekształcenia szkół realnych na zawodowe (profesyonalne). Oprócz tego mają być założone oddzielne szkoły zawodowe (fachowe) i instytut politechniczny z kursem dwuletnim.“ Zwykła to pewnie a niedorzeczna improwizacya reporterska, bo trudno zrozumieć: jaka zachodzi różnica między szkołami *profesyonalnemi* a *fachowemi*? Ta chyba jedynie, że pierwsze nazwane są po francusku, a drugie po niemiecku. Trudno nam również uwierzyć, ażeby systemat klasyczny zburzył ostatnie przytułki wykształcenia realnego. Po zniesieniu szkół realnych, gdzież młodzież przygotowywałaby się do wydziału matematycznego, do zakładów technologicznych, górniczych i t. p.? Obecne gimnazya klasyczne zadania tego nie spełnią, chociaż dziś uczniów swoich tam wysyłają. Szkoła realna jest rzeczywiście instytucyą zagadkowego celu, bo jej wychowańcom odcięto drogę bezpośredniego wejścia do uniwersytetu; ale połączmy ją z nim mostem, który jej się równie należy jak gimnazyom klasycznym, a odrazu wykaże swą użyteczność. Jak donosi *Tydzień* — piotrkowski — „w celach oszczędności polecono, aby lekcye języków nowożytnych odbywały się dla obu oddziałów każdej klasy w jednej sali.“ Ponieważ niema takiej sali, którąby pomieściła 50 uczniów, język niemiecki zaś zbierze ich około 80, a francuski 60, więc... Więc istnieje przepis, upoważniający radę pedagogiczną nie dozwolić uczęszczania na oba języki tym uczniom, którzy mają złe stopnie z przedmiotów głównych. To znaczy, że każdemu wolno uczyć się po niemiecku i francusku, jeśli zna „przedmioty główne.“

Zewsząd słyszymy głosy: światła, światła! Dla ciemnego ludu, dla ograniczonych ziemian, dla nieudolnych urzędników. Pani T. K. w liście do nas domaga się go wreszcie dla młodych robotnic, stających się zbyt łatwą zdobyczą uwodzicieli, proponując utworzenie osobnej szkoły niedzielnej. Niepotrzebaby na to zbyt wielkich środków, pomieszczenia mogłyby udzielać gimnazya żeńskie, znalazłaby się wreszcie pewna liczba nauczycielek, gotowych wykładać lekcye bezpłatnie. Podpisuję w zupełności tę myśl, chociaż wiem, że ci, którzyby powinni ją spełnić, jak wielu innymi prejektami, w piecu nią sobie napalą. Jeśli wszakże wolno komuś nie słyszeć, niechże nam wolno będzie dzwonić na każdy dobry pomysł.

Zadzwoniono na ostatni spoczynek kobiecie, której zgonu niepodobna ominąć milczeniem. Tak hojne gratyfikacye wypłacamy umarłym, że nie pojąłbym, dlaczego Kazimierze Aspis najmarnotrawniejsze pod tym względem pisma rzuciły tylko skąpą jałmużnę zwykłych nekrologów, gdybym nie wiedział, że pod literacką kądzielą nie opowiadała prawowiernych bajek. Życie dało jej do wyboru dwa skarby: niepodległość umysłu w ubóstwie lub poddańczość w dostatku — wybrała pierwszy i umarła bez należytego ratunku. Kiedyś wielu literatów znało panią Mosz, redaktorkę *Opiekuna Domowego*, wielu sławiło poetyczny głos jej *Dzwonów*, po śmierci nikt jej nawet nie oddał sprawiedliwości. Zasłużyła ona przecież na skromny wianuszek niezapominajek, jako literatka, jako matka, która starganemi siłami walczyła z niedostkiem o dziecko. Na smutny ten dramat spuszczam zasłonę, chciałem tylko zaznaczyć, że po za nią nie odgrywała się wesoła komedya życia.

Mamy ją zato gdzieindziej.

Niejaki M. H. (tego kryptonymu p. Minkowiecki nie odgadnie) chcąc p. St. Stanisławskiego, autora komedyi *Na łaskawym chlebie*, ubezpieczyć od nieuwagi świata, kropnął mu w *Wieku* za numerem ogłoszeń 1345 pełną zachwytów pochwałę obok hymnu Guyota na środek przeciw zadawnionym katarom. Uznaje on w pracy autora „wielki talent, niepospolitą werwę, zdrowe poglądy, najszlachetniejsze zasady“ i zapewnia mu, że „na łaskawym chlebie w piśmiennictwie nie będzie.“ Naturalnie krytyk za numerem 1345 „nic nie wie:“ ani „skąd nam autor przybywa,“ ani „gdzie się kształcił,“ ani też czy sceny jego utworu „są wynikiem doświadczenia, czy dowodem przenikającego geniuszu.„ Ha, filut, zamknął oczy i sądzi, że go nikt nie widzi. „Jakieby tam nie było stanowisko autora“ krytyki za numerem 1345, przyznać mu winienem, że coś podobnego spotykam po raz pierwszy w życiu. Czytałem reklamy nakładców na korzyść wydawanych dzieł, znałem redaktorów chwalących swoje utwory w własnych pismach, widziałem zmyślonemi nazwiskami podznaczone listy od literatów, skarżących się w imieniu narodu na brak ich artykułów; ale przyjacielskiej, płatnej i za numerem wydrukowanej reklamy dla „talentu“ jakiegoś pisarza — jeszcze nigdy nie spotkałem. Jestem też nader obowiązany za to zbogacenie mojego doświadczenia, chociaż jednocześnie żal mi podobno nader młodziutkiego p. Stanisławskiego, że tak rozpoczął swoją literacką karyerę. Jego zasłużonej twarzy pewnie nam pisma ilustrowane nie odbiją.

Chyba że się tak uprą, jak *Tygodnik Rolniczy*, któremu pewna liczba radców i prezesów Dyrekcyi Szczegółowej Tow. Kred. Ziemskiego zabroniła pomieszczać ich życiorysów (i portretów) a który chce ich gwałtem pokazać ludowi jako ludzi publicznych. Upór ten nie trafia mi do przekonania. Przedewszzstkiem ilość prezesów i radców Tow. Kred., których by warto pokazać ludowi, jest bardzo mała; wolałbym więc tym panom odpowiedzieć: skąd szan. dobrodzieje wiecie, że ja zamyślam was wyciągać z głębokiego ukrycia i wystawiać na widok publiczny? Powtóre, gdyby zaprotestował który z godnych tego zaszczytu, napisałbym w *Tygodniku Rolniczym:* „p. X. Y. prosi nas na wszystkie świętości, ażebyśmy nic o nim nie mówili i dlatego pomimo woli musimy zamilczeć.“ Bez żadnego zaś skrupułu pozwoliłbym sobie w oddzielnym artykule wyłożyć, jak to potomkowie nieugiętych stróżów „źrenicy wolności“ patrzą na żądanie, ażeby ich obrady odbywały się jawnie! Kiedy dawna szlachta czytała najtajniejsze noty dyplomatyczne przy otwartych drzwiach Izby sejmowej, dzisiejsza nawet mizerną salę Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego chce zamknąć na rygle. *Tempora mutantur et nos mutamur in illis!...*

Tylko żydzi ciemni pozostają ci sami. Jedno z pism opowiedziało charakterystyczny tej stałości dowód. Pewien gospodarz domu zakazał swym lokatorom stawiać na podwórzu kuczek. A że był przemysłowcem, ci więc udali się ze skargą do... kahału, który rzucił klątwę na goja i zabronił współwyznawcom u niego nabywać towarów. Można się opierać wyrokom sądów cywilnych, handlowych, kryminalnych, wreszcie biskupich i papieskich, ale biada przemysłowcowi, nad którym kachał wyrzekł: *anathema sit!* I ów też gospodarz musiał się ukorzyć pod groźbą bankructwa. Na przyszły rok może sam swym lokaterom kuczki wystawi.

„Stójmy! . Jak cicho! Słyszę ciągnące żórawie.“

To prospekty pism, przelatujące zwykle o tej porze do prenumeratorów, u których pragną sobie usłać gniazda. Najrozmaitsze: małe, duże, chude, tłuste, szare, barwiste, a nawet są i bezczelne. Tych tylko nie błogosławię. Wszystkie inne niech lecą, niech niosą światło, niech budzą szlachetne uczucia. Za jednym wszakże, który okulał i wznieść się nie mógł, gorąco przemawiam: za *Przeglądem Technicznym*, który skarży się na głód i obojętność ogółu. Probuje on jeszcze lotu w roku przyszłym, i jeżeli nie zyska poparcia, umrze ze słusznem przekleństwem na „kolegów w zawodzie technicznym.“ W przeszłym roku pochowaliśmy *Przyrodę i Przemysł*, w obecnym *Gazetę Kolejową*, mielibyśmy w przyszłym pogrzebać *Przegląd Techniczny*? Za dużo w prasie tych trupów... specyalnych.

Zdaje się, że już dziś ostatecznie pożegnam p. W. Landau, gdyż postąpił zgodnie z naszą radą jak dzielny obywatel: ponieważ pięciu amatorów zgłosiło się po wynagrodzenie za odbrycie kradzieży, więc odesławszy ich do sądu, złożył 10,000 rs. w Banku, które w wypadku oddalenia tych pretensyj, przeznacza na cele dobroczynne. To co innego. Teraz p. Landau nie potrzebuje ani skarżyć się na potwarze, ani bronić swej czci przed sądem honorowym, bo mu jej nikt nie draśnie. Jeżeli, czego wraz z nim pragnę, sądy nie uznają prawa pięciu braci łaknących, miasto nasze będzie miało po p. Landau bardzo piękną a dla niego bardzo zaszczytną pamiątkę. Tymczasem należy mu się od giełdy owacya.

Mam dziś i drugą przyjemność rehabilitacyi. W przeszłym numerze wspomniałem o zarzucie plagiatu, uczynionym w *Wędrowcu* prof. Trejdosiewiczowi przez p. I. Siekierę. Na skutek tej wzmianki ktoś prywatnie zwrócił mi uwagę, że zarzut ten posunął się za daleko. Jakoż nie zaprzeczając mu słuszności co do zapożyczenia przez p. Tr. kilkunastu zdań z artykułu p. Kosińskiego, nie mogę się zgodzić na ogólnikowe twierdzenie p. Siekiery, piętnujące całą rozprawkę *O różnorodności pokładów geologicznych* mianem plagiatu. Porównałem starannie oba teksty i dostrzegłem tylko na kilku stronnicach tożsamość materyału naukowego, co jest w artykule popularnym rzeczą całkiem dozwoloną, nigdzie zaś „przepisywania.“ Ponieważ atak był wymierzony na polskiego profesora uniwersytetu, p. S. winien był tembardziej nieco pohamować pióro i zatrzymać je w granicach sprawiedliwości. Nie wymagam od nikogo patryotycznych kłamstw, ale głosuję za patryotyczną *prawdą*, którą nie jest przesada.

Poseł Prawdy.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 22 grudnia.

Śród niebywałego harmidru sejm niemiecki został odroczony. Odgłosy wszakże jego ostatnich, nader burzliwych posiedzeń stają się coraz weselsze. Powodem awantury było wystąpienie ministra Puttkamera, który „upoważniony" oświadczył w parlamencie, że rząd wymaga od swych urzędników poparcia stronnictw mu przyjaznych przy wyborach. Między oburzonymi — i to najbardziej — znaleźli się narodowo-liberalni. Rozpoczął się gwałtowny atak na całej linii tego mizernego obozu. Ale z ks. Bismarkiem, przemawiającym przez swój telefon *Nordd. Allg. Ztg.*, polemizować trudno, gdyż on posiada archiwum rządowe, z którego może w potrzebie wyciągać bardzo niebezpieczne pociski. Jakoż gdy p. Beningsen krzyknął: „niesłychane!" i cała jego rzesza powtórzyła: „niesłychane!" organ ks. Bismarka ogłosił rozporządzenie poprzednika p. Puttkamera w ministeryum spraw wewnętrznych, hr. Eulenburga, przekonywające, że interwencya urzędnicza przy wyborach jest właśnie w Niemczech „słychaną" od paskudnej chwili panowania narodowo-liberałów. Do zrobienia *une bonne à mauvais jeu* trzeba czasem tylko bezczelności, którą ta czereda odprawionych najmitów kanclerskich posiada obficie; nic też dziwnego, że stara się swego kota wykręcić ogonem i nadać grzechowi ministra Eulenburga inne znaczenie.

Gruchania do papieża, słanie mu gniazda w Fuldzie przez dzienniki urzędowe—ustały. Nawet specyalnie do tego wydelegowana *Post* nie tak uprzejmie otwiera drzwi niemieckiego raju od dnia, w którym Leon XIII przemową swą do biskupów dał poznać, że zna posypywane mu przed sidłami plewy. Tymczasem jego drużyna niemiecka pod dowództwem Windhorsta przygotowała „rekonesans" — wniosek znoszący kary na księży za niedozwolone odprawianie obrządków religijnych. Jeśli ten „rekonesans" się uda, centrum pójdzie dalej i obleże twierdzę ustaw majowych, za których cenę ofiaruje Bismarkowi pomoc w parlamencie.

Niespokojniej jeszcze zamknęła swe posiedzenia austryacka Rada Państwa, do której przeleciały naturalnie iskry nieszczęsnego pożaru. Gdy hr. Taafe oświadczył, że nad bezpieczeństwem teatru winna była czuwać nie policya, lecz zarząd teatralny, budowniczy i t. d. słowem wszystkie prócz niej organa, zerwał się taki uragan krzyków, że omało nie rozbił już i tak niepewnej a ciągłymi wichrami miotanej łódki obecnego gabinetu. Burza słuszna, bo trudno zgodzić się na takie bajdy i uwolnić od odpowiedzialności policyę, która rzeczywiście okazała bezprzykładną nieudolność i głupotę. Prawdopodobnie też opłaci te swoje cnoty drogo.

Wobec tych wypadków blednie zatarg z Rumunią o „nieprzyzwoitość" mowy tronowej w przedmiocie żeglugi po Dunaju. Jednakże rząd wiedeński egzekwuje na sąsiadce swą należność. Już mu część długu wypłacił w swej mowie Bratiano, ale on upomina się o resztę zadośćuczynienia

Podczas gdy Francya zajęta jest przemianami figur na swej politycznej i dyplomatycznej szachownicy, Anglia znowu pasuje się z niegasnącą rewolucyą irlandzką: zamyka pisma, rozwiązuje ligi, aresztuje przywódców — przyczem ministeryum Gladstone'a grzęźnie coraz głębiej w błocie, z którego już mu nawet głowy nie widać. Naturalnie konserwatyści się myją, bo widzą, że niedługo ster państwa przejdzie w ich ręce.

ODPOWIEDŹ
panu Janowi Karłowiczowi na list otwarty w Nr. 50-ym PRAWDY ogłoszony.

Szanowny Panie! Komitet zajmujący się wydaniem dzieł J. Kochanowskiego, uważając publiczne wypowiedzenie przez Pana uwag i życzeń za dowód gorącego udziału w sprawie, w której Szanowny Pan jako współpracownik uczestniczy, poczytuje sobie za miły obowiązek wyrazić Mu uprzejme podziękowanie. Komitet uznaje poglądy pańskie i poniekąd nie różni się z panem w ich wykonaniu, lecz zachodzi tu ta okoliczność, że chciałby wszystkim wymaganiom dogodzić, gdy tymczasem musi się nieustanie oglądać na fundusze.

W uwagach pańskich w liście otwartym ogłoszonych mieszczą się trzy żądania: 1) *słownika* do dzieł J. Kochanowskiego, a za to uszczuplenia *objaśnień* w wydaniu *większym*, 2) *objaśnień* w wyd. *mniejszym*, 3) *pisowni popularnej*.

Naprzód. Słowniki specyalne do pojedyńczych autorów, jak słownik Dunkana do Homera i Pindara, słownik Asta do dzieł Platona, — Ellenta do Sofoklesa są zjawiskiem niezwyczajnym i właściwie nie należą do żadnego wydania autora, lecz służą zarówno do wszystkich wydań, a niezależnie od tego tekst tych autorów wydaje się z objaśnieniami. Opracowanie słownika w podobnym rodzaju do dzieł J. Kochanowskiego nie zmniejszyłoby kosztów nakładu, ale przeciwnie znakomicieby je powiększyło. Komitet mógłby się, co najwięcej, zgodzić na *słowniczek* wyrazów dziś niezrozumiałych, chociaż i ten nader szczupłej tylko liczbie czytelników będzie użyteczny, bo niewiele się znajdzie takich, którzyby czytając tom pierwszy zaglądali do ostatniego, w którymby się słowniczek mieścił. Gdy natomiast przypiski pod tekstem często będą pożądane czytelnikowi.

Komitet przypuszcza, że objaśnienia raz danego nie trzeba będzie przy każdej podobnej okoliczności powtarzać, i tego się trzymał w dotychczasowych przygotowaniach. W ten sposób postępując komitet nie sądzi, żeby przypiski zbyt przeciążyły wydanie.

Obawy o niejednostajność objaśnień komitet nie podziela, gdyż ostateczna redakcya leży w ręku komitetu, którego obowiązkiem będzie niejednostajności zaradzić.

Powtóre. Co do drugiego punktu, w którym Pan żąda opatrzenia edycyi popularnej w przypiski wyczerpujące, komitet jest w tym szczęśliwym położeniu, że się z panem najzupełniej zgadza i nigdzie tego nie ogłaszał, jakoby wyd. popularne miało być „zupełnie objaśnień pozbawione." Naszym jednak zdaniem przypiski przez wzgląd na możliwie niską cenę egzemplarza nie mogą tu być tak obszerne jak w wyd. pomnikowym, większa bowiem objętość spowodowałaby podwyższenie ceny.

Potrzecie. Komitet byłby sobie oszczędził wiele czasu i kłopotu, gdyby się był dopatrzył gdziekolwiek pisowni powszechnie przyjętej, któraby w pewnej mierze przynajmniej odpowiadała naukowemu i pomnikowemu charakterowi wydania. Samemu autorowi listu najlepiej pewnie wiadomo, że nie mamy dotąd pisowni, do którejby się stosowali wszyscy; przeciwie, prawie każde pismo posługuje się odrębną. Komitet, nie mogąc w zamierzonym wydaniu zastosować żadnego z używanych potocznie sposobów pisania, poszedł jeden krok dalej i przyjął ortografię, odpowiadającą do pewnego stopnia dzisiejszym wymaganiom językoznawstwa.

Warszawa, 18 grudnia 1881 r.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. Straży ogniowych w Królestwie liczymy obecnie 36 a mianowicie: w Częstochowie, Kaliszu, Kielcach, Krośniewicach, Kutnie, Łęczycy, Łomży, Łodzi, Makowie, Mławie, Ostrołęce, Pabianicach, Piotrkowie, Płocku, Pułtusku, Radomiu, Sieradzu, Skierniewicach, Sochaczewie, Suwałkach, Tomaszowie-rawskim, Turku, Warnie, Wieluniu, Włocławku. Nadto w ostatnich czasach zorganizowały się straże w Olkuszu, Miechowie, Grodzisku, Radomsku, Sokołowie — niebawem zaś zorganizują się w Bendzinie, Garwolinie, Konstantynowie, Lipnie, Nowym-Dworze, Ostrowie, Płońsku, Rypinie i Zduńskiej-Woli.

Zapisy. Testament śp. Gustawa Zielińskiego obejmuje następujące zapisy:

1) Dla biednych literatów, piszących po polsku, co się mniej lub więcej pracami swojemi odznaczyli rs. 3.000 (fundusz złożony być winien do redakcyi *Biblioteki Warszawskiej*, której uznaniu pozostawiono możność rozporządzania nim i sposób podziału między potrzebujących).

2) Dla Towarzystwa Osad rolnych w Studzieńcu rs. 1,000.

3) Dla szpitala dziecięcego w Warszawie rs. 1,000.

4) Dla zakładu paralityków i kalek nieuleczalnych rs. 1,000.

5) Dla biura nędzy wyjątkowej w Warszawie rs. 500.

6) Dla szpitala powiatowego w Lipnie rocznie, na utrzymanie łóżka jednego, rs. 150.

7) Na stypendyum roczne z majętności „Skempe," „Wierzbień" i „Kukowo" rocznie po rs. 150 (ci, którzy zeń będą korzystać, winni być urodzeni w dobrach wyżej wymienionych bez względu na stan i wyznawać religię rzymsko-katolicką).

8) Na założenie ochronki dla małych dzieci w Skempem rocznie po rs. 150; na wynajęcie mieszkania i ogrodu rs. 50, razem po rs. 200 rocznie (trzy ostatnie zapisy są czasowe i trwać mają lat 30, poczem suma zabezpieczająca je powraca do masy).

9) Na reperacyę kościoła parafialnego w Skempem rs. 1,500, jeżeli budowa sposobem gospodarczym, nie przez entreprzyę prowadzoną będzie.

10) Dla służących dworskich, folwarcznych i służby niższej leśnej rs. 5,000

11) Dla oficyalistów dworskich dóbr folwarcznych, a mianowicie: rządców, nadleśnych, kontrolerów, podleśnych ekonomów, kucharza i gospodyni rs. 3.000.

12) Osobom do składu administracyi dóbr wchodzącym kasyerowi, rządcy ekonomicznemu, plenipotentowi prawnemu, kredencerzowi rs. 6,600.

13) Krewnym, dzieciom chrzestnym rs. 5.000 (termin wypłaty wszystkich kapitałów następuje po upływie sześciu lat od dnia zgonu).

14) Biblioteka, numizmaty, zbiory starożytności, przedmioty sztuki, rękopisy i archiwum familijne przechodzi na własność syna, Józefa Zielińskiego, właściciela dóbr Łężyn.

Na egzekutorów testamentu wybrani są pp.: Franciszek Witorowski właściciel dóbr Jastrzębiec, Roch Godlewski właściciel dóbr Kłokock, Stanisław Radwański, właściciel dóbr Dzikowo, wreszcie synowie zapisodawcy: Józef i Władysław.

Wystawy. Dochód z wystawy elektrycznej w Paryżu przyniósł 400,000 franków netto. Wystawa była urządzona na koszt prywatny, a dochód przeznaczony na cele naukowe. Otóż za otrzymane z tego źródła 400,000 fr. ma być urządzonych w Paryżu kilka laboratoryów, przeznaczonych wyłącznie do doświadczeń z elektrycznością. Wstęp do nich będzie miał każdy bezpłatnie.

Pożary. W Prasnyszu dnia 8-go grudnia około południa, gdy procesya weszła do kościoła po-bernardyńskiego, w którym rozpoczął się odpust tygodniowy, od świecy trzymanej przez jednego z członków bractwa zapaliła się chustka na obok stojącej kobiecie. Na krzyk: gore! — tłumy rzuciły się ku drzwiom wychodowym. Na nieszczęście tak kościół jak i korytarze były zapełnione ludem w liczbie paru tysięcy. Poczęto się dusić, a gdy ci, co byli na cmentarzu, podążyli ku wejściom do kościoła, aby się dowiedzieć, co zaszło, katastrofa przybrała większe rozmiary. 8 osób zupełnie zduszono, a kilkadziesiąt poniosło mniejsze lub większe uszkodzenia. W kościele ławki, chorągwie połamano.

— Miasto Czyżew w dniu 20 b. m. w nocy spłonęło do szczętu prawie. Sąd, plebania, kościół i dom dr. Ruszkowskiego ocalały. Straty są olbrzymie.

Cholera wybuchła w Elviels, nad morzem Czarnem.

Archeologia. Ks. Siarkowski znalazł w Nowym Mieście Korczynie chorągiew, którą według podania miała uszyć królowa Jadwiga.

Wojsko, z wyjątkiem ułanów i huzarów, otrzymało nowe mundury.

Sztuki piękne. Dwa obrazy konkursowe pp. Kotarbińskiego i Gołębiowskiego, nagrodzone w tym roku malymi złotymi medalami, wystawione są obecnie na sprzedaż w salach Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu. Cena każdego obrazu oznaczoną została rs. 400. Jak wiadomo, oba utwory malowane były na zadany temat: „Prometeusz przykuty do skały wobec siły i władzy."

— *Wiek XIX-ty.* Tak nazwał Siemiradzki nowy swój obraz alegoryczny olbrzymich rozmiarów, który zbogaci kolekcyę pałacu Zawiszów w Warszawie.

— Do konkursu na pomnik Wiktora Emanuela stanęło nadzwyczaj wielu artystów, nadsyłając przeszło 200 projeklów rysunkowycb i medalów, tak że budynek przeznaczony na wystawę musiano rozszerzyć. Z polaków, oprócz Rygiera, przesłał swą pracę p. St. Adamczewski, budowniczy tutejszy.

Bibliografia polska. Nakładem i drukiem S. Lewentala wyszła powieść T. T. Jeża p. t. *Uskoki*, drukowana poprzednio w *Kłosach*.

— W drukarni J. Bergera, nakładem autora, wyszła broszura: *Kwestya finansowa*, w jaki sposób urządzić wycofanie i umorzenie biletów kredytowych skarbu rosyjskiego, aby na ich miejsce wprowadzić w obieg papiery kredytowe innego rodzaju, srebrną monetą spłacalne, bez obciążenia skarbu, owszem z powiększeniem jego metalicznych zasobów, zamożności, niemniej bogactwa kraju—zaprojektował A. M.

Prasa polska. Nowa redakcya *Kuryera Codziennego* ogłasza w swym prospekcie: „Opierając się na podwalinach, wytworzonych przez odrębność plemienną i historyczną, winien każdy naród zapożyczać się od innych w tem wszystkiem, co dlań jest potrzebnem do życia i do rozwoju postępowego... Ciągły ruch, ciągłe posuwanie się naprzód jest koniecznym, niezbędnym warunkiem życia.“ Ze słów tych wnioskować można, że *Kur. Codzienny* zaciągnął się pod chorągiew postępową. Życzymy mu wytrwania, winszujemy stanowiska i polecamy go uwadze czytelników.

Literatura rosyjska. Dozwolono w Rosyi wydawać nuty z librettem i słowniki w języku małoruskim, oraz sprowadzać z zagranicy książki małoruskie.

Teatr. Dyrekcya teatrów warszawskich zajęła się wprowadzeniem środków ratunkowych na wypadek pożaru.

Nekrologia. Mikołaj Pirogów, znany chirurg i uczony rosyjski, zmarł w majątku swoim Wiszni.

— Grzegorz Romaszkan, arcyb. ormiański we Lwowie.

— A. Preyss, prezes Tow. Dobroczynności.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. F. w Mazowiecku. Karłowicz nie nadesłał nam dotąd przyrzeczonego artykułu o nauczaniu języka polskiego. Co do księżej zmowy i podniesienia ceny mszy, mięszać się w to nie chcemy, bo naprzód jest ona, że tak powiemy — sprawą czysto domową gmin katolickich, a powtóre pod czyim adresem mielibyśmy się upomnieć o taksę? Lud *Prawdy* nie czyta, a księża jej nie usłuchają. Jeśli to wyzysk, to nie ulegają mu chyba czytelnicy... nasi. Powinien się tem zająć *Przegląd Katolicki*, wreszcie *Echo*, *Wiek*, lub... *Gazeta Świąteczna*. Arkuszów Pypina dostarczyć nie możemy.

P. L. B. w Rydze. Czyrniański E. *Słownictwo polskie chemiczne*, Kraków 1853, str. 19; Fonberg Ig. *Słownik wyrazów chemicznych*, Wilno 1825, str. 367. Fourcroy A. F. przy dziele *Filozofia chemiczna* (T. I. od str. 292—312), Warszawa 1808; Matecki T. T. *Słownictwo chemiczne polskie*, Poznań 1855, str. 218; Walter F. N. *Wykład nomenklatury chemicznej* (dwa dzieła), Kraków 1842 i 44; A. Radwański przy przekładzie *Chemii mineralnej* Woehlera, Warszawa 1839. Pławski A. *Słownik wyrazów botanicznyck*, Wilno 1830, str. 298, Łabęcki H. H. *Słownik górniczy polsko-rosyjsko-francusko-niemiecki*, Warszawa 1863.

P. Kaczanowskiemu w Focsani. Złr. 2. otrzymaliśmy, numerów żądanych nie posiadamy.

P. O. K. Wyrazu *powiadomić* dawny język polski nie zna, ale dzisiejszy używa — zamiast *uwiadomić*.

P. C. Reklewskiemu w Wieku. Z dwojga złego: przyjąć prywatne zaproszenie szan. Pana i odwiedzić go na wsi dla zbadania realnych dowodów, czy też przyjąć publiczne w *Wieku* i rozpatrywać dalej racyę „przegranej sprawy“ — nie wybieram. Byłbyś Pan bowiem zbyt niegrzecznym gospodarzem domu dla gościa, którego przekonywasz impertynencyami, a nadto jesteś zbyt niepoważnym przeciwnikiem jako znawca stosunków ekonomicznych — ażebym potrzebował zarówno wkładać swoje rękawiczki do wizyty, jak podnosić pańskie do walki. Zresztą, ja nie mam tyle, co pan czasu na takie starcia, *Prawda* tyle, co *Wiek*, zbywającego papieru, a czytelnicy nasi chęci słuchania, kto z nas dalej — używając „wyrazu elegancyi“ pańskiej — „nos wychylił.“ Godzę się, że Pan. *M. Drwęski.*

P. J. N. w Łodzi. Oznaczaniem postępowości lub niepostępowości bóżnicznego inwentarza nie zajmujemy się. Zwróć się Pan do *Izraelity*, który podobno na to istnieje i może błędy *Gaz. Handlowej* sprostuje.

P. M. P. w Wapniarce. Nie omyłka. Wydawnictwa podobne służą jako źródło wiadomości dla gazet politycznych. Takiem jest *Politische Correspondenz*, doniesienia Wolffa, Reutera, Havasa i t. d.

I. K. P. w Tlewie. Dwa zużytkowaliśmy, trzeci zawiera myśl dobrą, ale za słabo rozwiniętą.

OFIARY.

Na pomnik Mickiewicza pp.: M. M. i W. M. rs. 2 kop. 35. — Od uczniów klasy 7 Gimnazyum V, rs. 2 kop. 60, z zapewnieniem wnoszenia takiejże sumy co miesiąc aż do ukończenia pomnika. — Eugeniusz Krężelewski z Krzemieńca kop. 50 (odesłano do wspólnego funduszu w *Tyg. Ilustrowanym*).

OGŁOSZENIA.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 11 Декабря 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.